

Terry Pratchett

Johnny i zmarli

Od autora

Przyznaję, że nagiąłem lekko fakty historyczne do swych potrzeb. Bataliony Kolegów (Pals' Battalions) rzeczywiście istniały w opisanej przeze mnie formie, ale z praktyki ich tworzenia zrezygnowano latem 1916 roku, po pierwszej bitwie nad Sommą. Pierwszego jej dnia zginęło dziewiętnaście tysięcy brytyjskich żołnierzy, dowództwo zaś przekonało się, że Pals' Battalions to doskonały sposób, by nieumyślnie, acz skutecznie, zlikwidować całe pokolenie młodzieży z danej okolicy jedną salwą artyleryjską.

Nazwisko Thomas Atkins stało się w owym okresie synonimem typowego szeregowca, używanym we wzorach dokumentów, stąd więc "Tommy Atkins" to przezwisko brytyjskiego żołnierza.

Bez wątpienia w I wojnie światowej wzięło udział wielu prawdziwych Tommych Atkinsów. Tę książkę dedykuję im wszystkim, gdziekolwiek by byli.

Rozdział pierwszy

Johnny nigdy się nie dowiedział, dlaczego zaczął widzieć zmarłych. Alderman uważał, że to dlatego, iż jest zbyt leniwy, by ich nie zauważyć. Większość ludzi ma umysł tak skonstruowany, że nie potrafią dojrzeć niczego, co mogłoby ową konstrukcję naruszyć - tak twierdził Alderman, dodając przy tym, że może być w tej kwestii autorytetem, ponieważ całe życie (1822-1906) spędził w ten właśnie sposób.

Wobbler Johnson, technicznie przyjaciel Johnny'ego, uważał, że powód jest prosty: Johnny jest psychicznie (czytaj: umysłowo) chory.

Yo-less, który naczytał się książek medycznych, uważał, że przyczyną jest niezdolność Johnny'ego do koncentracji na typowych dla większości ludzi sprawach. Normalni ludzie ignorują bowiem prawie wszystko, co się wokół dzieje, dzięki czemu mogą się skupić na tak istotnych kwestiach, jak wstanie, niepomylenie drzwi od łazienki z drzwiami od szafy, ubranie się przed wyjściem do pracy (a nie w odwrotnej kolejności) itp. itd. etc. Johnny tymczasem otwierał rano oczy i nieodmiennie stwierdzał, że otacza go rzeczywistość.

Wobbler uważał, że to, co uważa Yo-less, też jest psychiczne.

Jakiegolwiek byłyby powody, co do skutków wszyscy byli zgodni: Johnny widzi to, czego nie widzą inni.

Stary Alderman zresztą nie zawsze miał rację, nawet w odniesieniu do innych zmarłych. Uważał na przykład, że pan Vicenti (1897-1958), posiadacz okazałego grobu z czarnego marmuru wraz z aniołkami i własną fotografią za szybą, był Gapo de Monte w mafii. Pan Vicenti przyznał się Johnny'emu, że całe życie był sprzedawcą nowinek technicznych, prestidigitatorem-hobbystą i ucieczkologiem-amatorem, co zdecydowanie nie pasowało do portretu mafioso.

Wszystko to nastąpiło jednak znacznie później - po tym, jak Johnny już całkiem dobrze poznał zmarłych.

Przedtem jednak, nim wskrzeszono ducha forda capri.

* * *

Johnny odkrył cmentarz po przeprowadzce do dziadka, co stanowiło Fazę Trzecią Ciężkich Czasów. Faza Pierwsza to były Wnioski, Faza Druga - Bądźmy Sensowni (była zdecydowanie gorsza, ponieważ ludzie są mniej groźni, gdy zachowują się normalnie, na przykład wrzeszcząc; bycie sensownym nie jest naturalnym zachowaniem, toteż wszyscy się znacznie bardziej męczą). Ojciec pracował teraz gdzieś w drugim końcu kraju, a matka, nie musząc zachowywać się sensownie (i nie mając na kogo wrzeszczeć), powoli wracała do normy, istniało więc podejrzenie, że Ciężkie Czasy mogą się ewentualnie skończyć. Johnny, nauczony może nie długoletnim, ale dogłębnym doświadczeniem, wołał o tym po prostu nie myśleć.

Badając okolicę i trasy komunikacyjne, stwierdził, że od przystanku autobusowego wygodniej iść wzdłuż kanału niż ulicą, bo skracało to drogę o połowę. To, że przy okazji trzeba było przejść przez zwalony płot i obejść krematorium, jedynie dodawało trasie uroku.

Groby dochodziły prawie do samego brzegu kanału.

Cmentarz był stary - jeden z tych, które zamieszkują sowy i lisy, a w niektórych dodatkach niedzielnych gazet ludzie piszą o "naszej wiktoriańskiej spuściźnie". Nic więcej nie robią, ponieważ owa spuścizna leży zbyt daleko od Londynu.

Wobbler twierdził, że na cmentarzu straszy, i rzadko tam zaglądał. Johnny zaś uważał, że wcale nie straszy, pod warunkiem że się pamięta, gdzie się jest. Jak człowiek zapomniał o wyszczerzonych kościotrupach pod spodem, to było tam całkiem miło: ptaszki ćwierkały, odgłosy ruchu ulicznego niemal nie docierały i ogólnie było całkiem spokojnie.

Co prawda starsze groby miały popękane płyty, ale wewnątrz nic nie było - sprawdził przy pierwszej okazji, toteż był pewien. Trochę się zresztą rozczarował.

Oprócz normalnych grobów znajdowały się też tam mauzolea albo grobowce, różnie je nazywano. Były znacznie większe od zwykłych grobów i miały drzwi. Z reguły wieńczyły je aniołki, i to generalnie wyglądające o wiele normalniej, niż można się spodziewać. Nadzwyczaj normalnie wyglądał zwłaszcza jeden, w pobliżu bramy. Sprawiał wrażenie, jakby właśnie sobie przypomniał, że przed opuszczeniem nieba miał skorzystać z toalety.

Wobbler dawał się jednak czasami przekonać, zdarzało się więc, że razem wracali przez cmentarz. Przy jednej z takich właśnie okazji wszystko się zaczęło.

- Za tydzień Halloween, robię imprezę - oznajmił Wobbler. - Trzeba wyglądać okropnie, żeby wejść, ale ty akurat nie musisz sobie zawracać głowy przebraniem.

- Serdeczne dzięki.

- Nie ma za co. Zauważyłeś, że ostatnio więcej takich różności można kupić w sklepach przez Halloween?

- Bo za dużo ludzi wysadzało się fajerwerkami. Dlatego wymyślili Halloween. Maski i takie tam są mniej szkodliwe i trudniej je wysadzić.

- Pani Nugent twierdzi, że to trąci okultyzmem - zauważył bez przekonania Wobbler.

Panią Nugent z rodziną Johnsonów wiązało długoletnie sąsiedztwo, a znana była z wybitnie nieracjonalnych zachowań, w wypadku gdyby na przykład ktoś o trzeciej rano słuchał Madonny na cały regulator.

- Może i trąci. - Johnny był raczej przyjaźnie nastawiony do świata.

- Twierdzi też, że w Halloween wiedźmy odlatują na sabaty - informował dalej Wobbler.

- Że co? - zdumiał się Johnny. - Gdzie odlatują?

- Nie wiem, nigdy nie byłem wiedźmą.

- To prawda. Pewnie mają specjalne zniżki posezonowe, jak emeryci. Moja ciotka jeździ po świecie autobusem prawie za darmo, a wiedźmą nie jest, więc specjalnej zniżki grupowej czy zawodowej nie ma...

- Tylko nie rozumiem, co ją tak denerwuje - kontynuował Wobbler. - Jak wiedźmy odlecają na wakacje, to tu będzie bezpieczniej, nie?

Mijali właśnie ozdobne mauzoleum wyposażone w okienko; Johnny nie odpowiedział, gdyż zastanawiał się, po co je tam zainstalowano. Prawdopodobieństwo, że ktoś by chciał tam zajrzeć, było niewielkie, acz zdecydowanie większe niż to, że ktoś chciałby stamtąd wyrzeć.

- Przyznam, że nie chciałbym lecieć tym samym samolotem co ona. - Wobbler najwyraźniej ciężko myślał. - Nie lubię nawiedzonych miejsc...

- Ale na pewno obsługę byś miał pierwsza klasa. - Może...

- Zabawne - zauważył niespodziewanie Johnny.

- Co? Obsługa?

- Nie. Kiedyś widziałem film o ludziach w Meksyku czy gdzieś... Co roku szli na cmentarz i urządzali tam imprezę. Uważali, że nie ma powodu, aby ktoś, kto umarł, nie miał się zabawić.

- Co?... Imprezę?... Na cmentarzu?!

- Właśnie.

- I co? Zielone ręce wyciągają się z grobów po kanapki? - zainteresował się Wobbler.

- Wątpię. Poza tym w Meksyku nie jedzą kanapek, tylko te, jak im tam... torty, nie... tartycośćam. Nieważne.

- Założę się, że nie odważyłbyś się zastukać do któregoś grobowca, bo byś się bał tych, co się wewnątrz snują - wypalił w pewnym momencie Wobbler.

- A dlaczego oni się snują?

Pytanie zaskoczyło Wobblera.

- Oni zawsze się snują - stwierdził po chwili autorytatywnie. - Widziałem na wideo: zielonkawe snuje mogące przenikać przez ściany.

- Dlaczego?

- Co "dlaczego"?

- Dlaczego przenikają przez ściany? Za życia tego nie robią, to dlaczego po śmierci?

Wobbler w kwestii filmów był ekspertem ze względu na częste nocne dyżury rodzicielki w szpitalu, jak też na jej raczej bezproblemowe podejście do wideo. Wieść niesła, że ogląda nawet te, które wszyscy poniżej dziewięćdziesiątego dziewiątego roku życia powinni oglądać z rodzicami.

- Nie wiem - przyznał Wobbler. - Zwykle są na coś strasznie wściekli.

- Na to, że umarli?

- Chyba... bo sam powiedz: co to za życie, jak się umrze?

Johnny zastanawiał się nad tym przez cały wieczór. Jak dotąd jedynymi znanymi mu umarłymi byli: pan Page, który umarł w szpitalu na coś tam, i jego własną (Johnny'ego, nie

pana Page'a) prababka, która miała dziewięćdziesiąt sześć lat i po prostu umarła ze starości. Żadne z nich nie wściekało się nigdy na nic. Prababcia generalnie była zagubiona, ale nigdy się nie wściekała - nawet gdy nie mogła się dopchać do pilota (uwielbiała TV) w Słonecznych Akrach, gdzie dożywała swoich dni wraz z innymi prababciami (Johnny odwiedzał ją tam raz na jakiś czas). Pan Page z kolei był jedyną na całej ulicy osobą przesiadującą cały dzień w domu.

Zdecydowanie nie wyglądali na takich, co po śmierci wstają z grobów, żeby zatańczyć z Michaeliem Jacksonem. Jedynym powodem ewentualnego przenikania prababci przez ściany byłaby możliwość spokojnego oglądania telewizji, bez ciągłej walki o pilota do telewizora z piętnastoma innymi staruszkami.

Efektom tych przemyśleń był wniosek, że większość ludzi ma błędne pojęcie o wielu sprawach.

* * *

O wniosku tym nie omieszkął następnego dnia powiadomić Wobblera. Wobbler się z nim nie zgodził.

- Z ich punktu widzenia to pewnie inaczej wygląda - umotywował. - Z punktu widzenia zmarłych, ma się rozumieć.

Wędrowali Aleją Zachodnią - cmentarz zaplanowano mniej więcej jak miasto, a ważniejsze ganki otrzymały nazwy. Może nie najoryginalniejsze, bo w stylu: Ganek Południowy albo Droga Północna, ale zawsze. Tam, gdzie Ganek Południowy krzyżował się z Aleją Zachodnią, zrobiono placyk, wysypano żwirem i ustawiono ławeczki. Wyglądało to mniej więcej jak niewielki rynek jakiegoś miasteczka podczas najdłuższej w historii przerwy świątecznej.

- Ojciec twierdzi, że tu będą coś budować - odezwał się po chwili Wobbler. - Rada sprzedała cmentarz jakiejś wielkiej kompanii, i to za grosze, bo za drogo kosztuje jego utrzymanie. Podobno za pięciopensówkę konkretnie.

- Co, cały cmentarz za pięć pensów?

- Podobno tak. - Wobbler nie był do końca pewien. - Tata mówił, że to skandal.

- I ten topolowy zagajnik też?

- Wszystko. Mają tu być biura czy coś...

Johnny rozejrzał się uważnie - faktycznie, cmentarz był jedyną otwartą przestrzenią w okolicy.

- Dałbym im przynajmniej funta - zdecydował.

- Może, ale nie mógłbyś tu nic zbudować, a to jest najważniejsze.

- Nie chcę tu nic budować! Dałbym im funta, żeby to zostawili tak jak jest.

- Dobrze - Wobbler nagle zaczął mówić tonem, którego zwykle używał, gdy go wzywano do tablicy. - Tyle że ludzie muszą gdzieś pracować.

- Założę się, że ci tutaj nie będą uszczęśliwieni. Jak się dowiedzą...

- Przeniosą ich gdzieś - stwierdził Wobbler. - Muszą ich gdzieś przenieść, jak likwidują cmentarze, bo inaczej człowiek nie byłby w stanie przekopać ogródka. Wracając do wczorajszej rozmowy, miałem rację: nie odważysz się zapukać do mauzoleum?

Najbliższe wyglądało niczym marmurowa szopa. Nad drzwiami wmontowano litery z brązu, układające się w napis:

ALDERMAN THOMAS BOWLER

1822-1906

PRO BONO PUBLICO

Do tego znajdowała się tam jeszcze płaskorzeźba przedstawiająca starszego mężczyznę spoglądającego w dal. Wyglądał, jakby się zastanawiał, co znaczy "pro bono publico". Najprawdopodobniej był to sam Alderman.

- On na pewno by się zdenerwował - mruknął Johnny.

Zawahał się przez moment, następnie zszedł po kilku kruszących się stopniach i zapukał do metalowych drzwi. Prawdę mówiąc, pojęcia nie miał, dlaczego to robi - ani wówczas, ani później.

- Przestań! - syknął Wobbler. - A jak się wysnuje albo co?! Poza tym rozmawianie z duchami może prowadzić do praktyk satanistycznych. W telewizji tak mówili.

- Nie rozumiem dlaczego - zdziwił się Johnny i zapukał jeszcze raz.

Drzwi otworzyły się.

Alderman Thomas Bowler zamrugał oślepiony słońcem i spojrzał na Johnny'ego.

- Słucham?

Johnny zrobił w tył zwrot i pognął przed siebie.

Wobbler prześcignął go w połowie Drogi Północnej. Nie należał do wysportowanych, toteż osiągnięta przez niego prędkość zaskoczyłaby przytłaczającą większość ludzi, którzy go znali.

- Co... się... stało...? - wysapał.

- Nie widziałeś? - zdziwił się Johnny. - Nic... nie... widziałem...

- Drzwi się otwarły!

- Się... nie otwarły...!

- Otwarły! - uparł się Johnny.

Wobbler zahamował z piskiem obcasów.

- Drzwi... zostały zamknięte! - stwierdził stanowczo. - Nie mogły się... otworzyć: mają kłódki!

- Żeby nikt nie wszedł czy żeby nikt nie wyszedł?

Sądząc po minie, Wobbler wcześniej nie zadał sobie tego pytania.

Tym razem on ruszył pierwszy.

- Nie dam się przestraszyć! - wrzasnął. - I nie będę praktykował satanizmu! Wracam do domu!

W rekordowym tempie skręcił w Drogę Wschodnią i pognął do bramy.

Johnny natomiast zwolnił, a po chwili zupełnie stanął.

Wobbler miał rację - wszystkie drzwi grobowców miały kłódki, żeby wandalę i inny element nie mogli tam wejść. Lecz przecież w niczym nie zmieniało to faktu, że widział, jak drzwi się otwierają i jak Alderman Thomas Bowler wychodzi. Nie snuł się i nie przemknął, i bynajmniej nie był zielonkawy: był krępy męczyzną w średnim wieku, w obszytym futrem płaszczu i uczciwym kapeluszu. Aha: miał złotą dewizkę od zegarka w kieszonce kamizelki.

Johnny powoli zawrócił, aż dotarł do miejsca startu; grobowiec miał kłódkę. Zardzewiała co prawda, ale za to masywną. Rozsądek podpowiadał, że wszystko przez głupie rozmowy z Wobblerem, ale to niczego nie zmieniało.

Zapukał ponownie.

- Słucham? - spytał Alderman Thomas Bowler, stając w progu.

- Ja... hmm... przepraszam...

- Czego chcesz, młodzieńcze?

- Czy pan jest martwy?

Alderman spojrzał wymownie na napis przed wejściem.

- A co tu jest napisane? - spytał z lekkim westchnieniem.

- No...

- 1906. Podobno bardzo dobry pogrzeb. Niestety, nie widziałem, choć naturalnie brałem w nim udział. Przemowy nad trumną były wzruszające, jak słyszałem... Cóż... Czego ci trzeba, młody człowieku?

- Co... hmm... - Johnny rozejrzał się desperacko. - Co znaczy "pro bono publico"?

- Dla publicznego dobra.

- Aha... to ja... dziękuję. Bardzo panu dziękuję. - Johnny się wycofywał, jakoś nie mając ochoty odwrócić się i odejść.

- To wszystko?

- Hmm... tak, tak.

- Też tak sobie myślałem, że to nie będzie nic ważnego. - Alderman pokiwał ze smutkiem głową. - Od 1923 nie miałem gości, a ci ostatni zatrzymali się tu tylko dlatego, że im się nazwiska pomyliły. I, co gorsza, to nawet nie byli krewni. To byli Amerykanie! No cóż... do widzenia zatem.

Johnny zawahał się: może się odwrócić i iść do domu. I mieć pewność, że nic się nie wydarzy. Zupełnie nic: skończy szkołę, dorośnie, ożeni się i będą żyli razem długo i nieszczęśliwie. A potem się zestarzeje, wyląduje w Słonecznych Akrach, jak niektórzy nazywali Sunshine Acres, i będzie wysiadywał przed telewizorem, czekając, aż się zjawi kolejny posiłek. A w końcu umrze. I wciąż nie będzie wiedział.

Istniała co prawda teoretyczna możliwość, że kiedy będzie umierał, zjawi się aniołek albo inna dobra wróżka i wzorem złotej rybki spełni jego życzenie, dzięki któremu będzie mógł wrócić i zacząć od nowa. Tyle że Johnny nie wierzył w aniołki, wróżki (dobre), złote rybki i inne bajeczki.

Dlatego zrobił krok naprzód.

- Pan jest martwy, tak? - spytał wolno.

- Owszem. To jedna z niewielu rzeczy, których jestem zupełnie pewien.

- Ale pan nie wygląda na martwego... to znaczy... chodzi mi o trumnę i te sprawy.

- A, o to. W trumnie jest ciasno i niewygodnie. - Jest pan duchem? - Z niewiadomych powodów

Johnny'emu ulżyło.

- Mam nadzieję, że aż tak się nie stoczyłem - odparł ku jego zdziwieniu Alderman.

- Mój przyjaciel Wobbler byłby autentycznie zaskoczony, gdyby pana poznał. - Johnny postanowił zmienić temat. - Taniec nie jest pańską najmocniejszą stroną?

- Walcowałem całkiem nieźle... to jest: nie najgorzej tańczyłem walca.

- To nie to... chodzi o coś takiego... - Zamiast tłumaczyć, Johnny wykonał najlepiej jak potrafił imitację Michaela Jacksona.

Sądząc po minie Aldermana Toma Bowlera, nie była to najlepsza imitacja.

- Zakładając, że to nie jest lumbago albo taniec świętego Wita, robi duże wrażenie - przyznał po chwili Alderman.

- I do tego trzeba jeszcze zrobić "Ooouuu!"

- W takim razie to musi być bolesne.

- Nie, nie... bardziej jak: "Oooooouumeeeeeh!" Trzeba zawyć... - Johnny umilkł, zdając sobie nagle sprawę, że entuzjazm go poniósł. - Nie jest to obowiązkowe... Prawdę mówiąc, nie rozumiem, jak można być martwym i równocześnie chodzić i mówić...

- Prawdopodobnie dzięki względności - wyjaśnił Alderman, próbując znacznie wolniejszej i sztywniejszej wersji Jacksona. - W ten sposób? Auuu!

- Mniej więcej... - wykrztusił Johnny. - Co pan miał na myśli, mówiąc o względności?

- Einstein wytłumaczył to wszystko całkiem zrozumiale.

- Co?! Albert Einstein?!

- Kto? - teraz dla odmiany zdziwił się Alderman.

- Słynny fizyk. Odkrył szybkość światła i tym podobne.

- Doprawdy?! Nie, miałem na myśli Solomona Einsteina, słynnego preparatora z Cable Street. Zajmował się wypychaniem zwierząt i, jak sądzę, wynalazł jakąś maszynę do robienia szklanych oczu. Potrafił go motocykl w trzydziestym drugim... miał naprawdę oryginalne pomysły.

- Nigdy o nim nie słyszałem - przyznał Johnny i się rozejrzał. Zaczynało się ściemniać.

- Chyba lepiej pójść do domu - stwierdził i zaczął się wycofywać.

- Powoli zaczynam rozumieć, o co chodzi - powiedział Alderman, koncentrując się na nieco mniej sztywnej i nieco szybszej wersji Michaela Jacksona.

- Ja... hmm... jeszcze przyjdę... może...

- Przyjdź, kiedy chcesz. Zawsze mnie tu znajdziesz.

Johnny oddalił się z maksymalną możliwą szybkością, przy zachowaniu resztek pozorów, że jeszcze idzie.

- Zawsze jestem - powtórzył Alderman. - To coś, w czym po śmierci człowiek robi się naprawdę dobry... Jak to było... "Łłaaaa"?

Rozdział drugi

Przy herbacie Johnny poruszył temat cmentarza.

- To, co robi rada, jest odrażające - ocenił dziadek.

- Ale utrzymanie cmentarza drogo kosztuje - sprzeciwiła się matka. - Większości grobów nikt nie odwiedza. Naturalnie nie licząc pani Tachyon, a ona ma fioła.

- Nieodwiedzanie grobów nie ma z tym nic wspólnego, dziewczyno. Ten cmentarz to historia.

- Alderman Thomas Bowler - dodał Johnny.

- Nigdy o nim nie słyszałem - zdumiał się dziadek. - Nie, mówiłem o Williamie Stickersie. Prawie wybudowano mu pomnik... I byłby pomnik, bo wszyscy się na niego złożyli, gdyby ten oszust nie uciekł z pieniędzmi! Sam dałem sześciopensówkę!

- To rzeczywiście ewenement - przyznała matka.

- On był sławny? - zainteresował się Johnny.

- Prawie sławny - poprawił go dziadek. - Słyszałeś o Karolu Marksie?

- To ten, co wynalazł komunizm?

- Właśnie. Gdyby go nie było, zrobiłby to William Stickers. Chłop miał pecha, bo Marks był szybszy. Wiesz co... jutro ci pokażę!

* * *

Nazajutrz niebo było ciemnoszare i siąpiła mżawka.

Niemniej dziadek dotrzymał słowa. W efekcie obaj stali przed solidną płytą nagrobną z napisem:

WILLIAM STICKERS

1897-1949

ROBOTNICY ZJEDNOCZONEGO ŚWIA

- Wielki człowiek - powiedział cicho dziadek, zdejmując czapkę.

- Co to jest "zjednoczonego świata"?

- Powinno być: świata, ale zabrakło pieniędzy, nim skończyli napis. To dopiero był skandal! Był bohaterem klasy pracującej. Jak nic wziąłby udział w wojnie domowej w Hiszpanii, gdyby mu się nie pomyliły statki. A tak wysadzili go na ląd w Hull.

Johnny rozejrzał się uważnie.

- Hmm, a jaki on był? - spytał.

- Już ci mówiłem: był bohaterem proletariatu.

- Chodzi mi o to, jak wyglądał. Masywny, z szeroką czarną brodą i okularami w złotej oprawie?

- Właśnie. Oglądałeś zdjęcia? - Niezupełnie...

Dziadek naciągnął czapkę na uszy.

- Idę po zakupy - oznajmił. - Chcesz się przejść? - Nie, dzięki. Hmm... umówiłem się z Wobblrem, u niego.

- Jak chcesz.

Dziadek pomaszrował ku głównej bramie.

Johnny poczekał, aż dziadek zniknie za zakrętem, wziął głębszy oddech i powiedział:

- Dzień dobry.

- Ten napis to faktycznie był skandal - odparł William Stickers i przestał się opierać o własny nagrobek. - Jak się nazywacie, towarzyszu?

Słyszając liczbę mnogą, Johnny odruchowo się rozejrzał i dopiero wtedy dotarło doń, że to o niego chodzi.

- Johnny Maxwell.

- Wiem, że mnie widzicie: spoglądaliście prosto na mnie, kiedy ten starszy człowiek mówił.

- Wiedziałem, że pan to pan. Jest pan... hmm... cieńszy. - Aha, więc nie jesteście towarzyszem...

- Nie, jestem sobą - wyjaśnił Johnny, jakoś nie mogąc się zdobyć, by powiedzieć tamtemu, że jest przezroczystry; lepiej było zmienić temat. - Przyznaję, że nie rozumiem:

jest pan martwy, tak? To czym pan jest... duchem?

- Nie ma czegoś takiego! - parsknął gniewnie Stickers. - To relikł anachronicznego systemu przesądów.

- No to w takim razie jak...

- To całkowicie zrozumiały fenomen naukowy. Nie pozwól nigdy, by przesady przesłoniły ci racjonalne myślenie, chłopcze. Najwyższy czas, by ludzkość przestała wierzyć w kulturowe zabobony i wstąpiła na świetlaną drogę socjalizmu. Który to rok mamy?

- Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty trzeci.

- Aha. I uciśnione masy powstały, by zrzucić kapitalistycznych wyzyskiwaczy w imię jedynie słusznego komunizmu?

- Że jak, proszę? - zdziwił się uprzejmie Johnny i coś mu zaświtało. - Aha, chodzi panu o to, czy było jak w Rosji? Coś w telewizji mówili, zdaje się, cara zastrzelili albo jakoś tak... może car kogoś zastrzelił... nie, to jednak jego zastrzelili.

- To wiem. To był początek. Mnie interesuje, co się działo po czterdziestym dziewiątym roku. Pewnie światowa rewolucja już dawno się dokonała, jak sądzę. Nikt nam tu niczego nie mówi, co się na świecie dzieje...

- Cóż... rewolucji to aż za wiele... - stwierdził Johnny. - I to gdziekolwiek by człowiek spojrzał...

- Doskonale!

- Mhm... - Johnny wolał mu nie mówić, że większość robiących ostatnie rewolucje twierdzi, iż obala komunistyczny ucisk; chybaby Stickersowi było przykro. - Zaraz... mógłby pan przeczytać gazetę, gdybym ją tu przyniósł?

- Naturalnie, choć trochę trudno przewracać kartki.

- A jakbyście się za to wzięli w kilku?

- To jest myśl!... Choć przyznaję, że większości to nie interesuje. Nie chce im się wysilać, leniwcom.

- A może pan chodzić po okolicy? Mógłby się pan dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy, i to nikogo o nic nie pytając.

- Dalsze spacerowanie to trudna sprawa... - William Stickers wyglądał na przestraszonego.

- Tak naprawdę to nie jest dozwolone.

- Gdzieś czytałem, że duchy są generalnie przywiązane do miejsca.

- Duchy? Ja jestem... po prostu martwy... - Nagle pogroził komuś energicznie przezroczystym palcem. - Nie! Tak łatwo sobie ze mną nie poradzą! Nie w ten sposób! To, że jak widać, nadal tu tkwię, pomimo śmierci, wcale nie znaczy, że gotów jestem uwierzyć w te wszystkie nonsensy. Należy myśleć logicznie i racjonalnie, mój chłopcze. I nie zapomnij o gazecie!

William Stickers powoli wyblakł i zniknął. Ostatnim widocznym elementem był wyciągnięty palec, wciąż demonstrujący całkowity brak wiary w życie po śmierci.

Johnny poczekał jeszcze trochę na wszelki wypadek, ale żaden inny zmarły nie miał ochoty pogawędzić, czy też choćby pokazać się. Za to wyraźnie czuł, że jest obserwowany (i nie miało to nic wspólnego z normalnym uczuciem, że ktoś się nachalnie na człowieka gapi). Nie było to miłe uczucie. Mniej więcej jak wtedy, kiedy się jest na proszonym obiedzie u cioci, gdzie się nie wypada podrapać po siedzeniu czy podłubać w nosie, mimo że oficjalnie nikt na człowieka nie patrzy.

Za to po raz pierwszy zaczął tak naprawdę dostrzegać cmentarz jako taki. I zmuszony był przyznać, że wygląda na to, iż jest zapuszczony i opuszczony.

Kanału, do którego groby prawie dochodziły, od dość dawna używano jedynie w charakterze wysypiska śmieci - stare wózki, zepsute telewizory i połamane fotele zaścielały brzegi niczym szczątki potworów z Ery Odpadków. Dalej znajdowało się krematorium wraz z Ogrodem Pamięci, wysypanym drobnym tłuczniem i starannie unikającym najmniejszego choćby kontaktu z trawą. Krematorium dochodziło do Cemetery Road; kiedyś po jej drugiej stronie stały domy, obecnie jednak znajdowała się tu wyłącznie tylna ściana magazynu dywanów zwanego Bonanza Carpet (Niewiarygodna Obniżka Cen!). Przy ulicy stały jeszcze budka telefoniczna i skrzynka na listy sugerujące, że ktoś kiedyś uważał tę okolicę za dom. Teraz była to jedynie uliczka, którą można szybciej dotrzeć z jednej dzielnicy do drugiej z ominięciem centrum. Z czwartej strony znajdowało się jedynie ceglane rumowisko i komin, czyli wszystko, co zostało po Blackbury Rubber Boot Company ("Jak kalosz, to z Blackburry" - było to jedno z najgłupszych haseł reklamowych, z jakimi Johnny się zetknął, choć już

wtedy tak po kaloszach, jak i po fabryce pozostało jedynie wspomnienie i ów slogan).

Johnny przypominał sobie co prawda mętnie jakieś artykuły w prasie, że ludzie przeciwko czemuś protestowali, ale przecież zawsze tak było. Zresztą w gazetach było ciągle tyle nowości, że człowiek nie miał szans, by na czas się dowiedzieć, co naprawdę jest ważne.

W pobliżu wspomnień po fabryce parkowały buldożery i inny sprzęt rozbiórkowy, choć nie było przy nich nikogo, i to już od paru tygodni. Cały teren otaczało ogrodzenie z siatki przerwane w co najmniej czterech miejscach pomimo tabliczek głoszących, że tego terenu pilnują psy strażnicze na patrolu. Może pieski miały dość patrolu i to właśnie one przerwały ogrodzenie, szukając ciekawszego zajęcia...

No i naturalnie była tam jeszcze tablica. Duża, nowa, z przypiętym rysunkiem nowego biurowca, który będzie wybudowany po rozebraniu ceglanych resztek. Wyglądał imponująco, zwłaszcza że wokół budynku miały być drzewa i wodotryski. A niebo było tak nienaturalnie błękitne, że trzeba bujnej wyobraźni, by uwierzyć, że to ma być Blackbury. Z zasady niebo miało tu taką barwę, jak stare pudełko po butach.

Johnny nie przyglądał się temu arcydziełu optymizmu zbyt długo, bo mżawka zaczęła się robić naprawdę dokuczliwa, ale i tak dostrzegł to, co najważniejsze: w żaden sposób to, co narysowano, nie miało prawa się zmieścić na samym tylko terenie starej fabryki.

Napis nad malunkiem głosił: "Podniecające Osiągnięcie United Amalagamated Consolidated Holdings. Naprzód w Przyszłość!"

Co prawda nie czuł specjalnego podniecenia, za to czuł, że "Naprzód w Przyszłość!" jest sloganem reklamowym głupszym nawet niż "Cukier krzepi", nie wspominając już o reklamie kaloszy.

* * *

Następnego dnia w drodze do szkoły Johnny wsunął złożoną gazetę za grób Williama Stickera, starając się, by nie była widoczna dla kogoś stojącego przed nim. Czuł się przy tym dość głupio, ale zupełnie się nie bał. Miał ochotę z kimś o tym pogawędzić i jak zwykle

padło na stary, trzyosobowy zestaw.

W szkole były najrozmaitsze gangi, grupy, kluby i kółka, od sportowych zaczynając, na komputerowych kończąc. Niejako poza tym kręgiem byli Johnny, Wobbler, Yo-less i Bigmac, czyli ci, którzy nie zaliczali się do żadnego z wyżej wymienionych ugrupowań. Bigmac co prawda kiedyś należał do skinów, ale był ostatnim spośród nich i do tego bez przekonania: to, że chesał się gąbką, nie równoważyło platfusa, astmy i tego, że wyglądał niczym reklama wysokiego napięcia w adidasach (konkretnie nosił martensy, ale to detal techniczny).

Zwyczajowym miejscem pobytu całej czwórki podczas przerwy stał się zaułek między szkolną kuchnią a biblioteką, i tam też Johnny zdał relację z ostatnich wydarzeń, a raczej z ostatnich przeżyć związanych z nimi.

- Duchy - ocenił Yo-less, gdy Johnny skończył.

Technicznie Yo-less reprezentował czarną rasę.

- Nieee... - sprzeciwił się Johnny trochę bez przekonania. - Nie lubią, jak się ich tak nazywa. Nie wiem zresztą dlaczego. Oni są... no, po prostu martwi. Może to tak, jak nazwać kogoś kaleką albo głupkiem...

- Politycznie niewłaściwe - mruknął Yo-less. - Czytałem o tym.

- To jak chcą być nazywani? - spytał Wobbler. - Obywatelami w wieku pożyciowym?

- Mógłbyś się bardziej postarać - prychnął Yo-less.

- To jak? Pionowo poszkodowani?

- Co?! - zdumiał się Yo-less.

- Przecież są zakopani, nie?

- A może zombi? - ożywił się Bigmac.

- Żeby być zombi, musisz mieć ciało - wyjaśniał mu cierpliwie Yo-less. - Zombi nie jest tak naprawdę martwy, tylko napojony tym tajnym koktajlem voodoo. No, tym z ryb, korzeni i czegoś jeszcze. Wtedy staje się zombi.

- A dokładniej? - zainteresował się Bigmac.

- Co "dokładniej"?

- Co jest w tym napoju?

- Skąd mam wiedzieć? Jakieś ryby, korzenie i coś.

- Przejdź się tam, gdzie jest voodoo, to będziesz wiedział - zaproponował Wobbler.

- On powinien wiedzieć bez jeżdżenia. - Bigmac wskazał na Yo-lessa.

- A to dlaczego? - zdziwił się wskazany.

- Bo jesteś czarny, nie? A voodoo wymyślili Murzyni.

- A co ty wiesz o druidach? - spytał spokojnie Yo-less.

- Nic - przyznał uczciwie Bigmac. - A co to było?

- Nieważne, ale oni byli biali.

- Nie szkodzi. Podejrzewam, że twoja mama wie. - Bigmac był wyjątkowo uparty.

- Bym się zdziwił. Moja mamuśka spędza w kościele więcej czasu niż papież. I na niczym więcej się naprawdę nie wyznaje. No, może poza udzielaniem ofiarom pierwszej pomocy...

Bigmac nic już nie powiedział, doskonale pamiętając wieczór, do którego nawiązywał Yo-less.

- Może przestalibyście się wygłupiać - zirytował się Johnny. - Ja ich naprawdę widziałem!

- Może z twoimi oczami jest coś nie tak? - zastanawiał się Yo-less. - Może byś poszedł do okulisty albo wziął kropelki...

- Kiedyś widziałem taki stary film o facecie, co miał rentgena w oczach. - Bigmac ożywił się powtórnie. - Mógł, jak chciał, widzieć różne rzeczy.

- Przez ubranie też? - tym razem ożywił się Wobbler.

- Tego to nie pokazywali - przyznał ze smutkiem Bigmac.

I rozmowa zeszła na zmarnowane talenty.

- Może byście przyjęli do wiadomości, że ja przez nic nie widzę - powiedział w końcu dobitnie Johnny. - Ja tylko widzę ludzi, których inni nie widzą.

- Mój wujek też widział rzeczy, których inni nie widzieli - oświadczył Wobbler. - Zwłaszcza w sobotę w nocy.

- Ja mówię poważnie! - warknął Johnny.

- On też mówił, jak wytrzeźwiał - odparł równie poważnie Wobbler.

- A poza tym też poważnie mówiłeś, że widziałeś w swoim akwarium potwora z Loch Ness - przypomniał Bigmac.

- Dobra, ale...

- To pewnie był zwyczajny plezjozaur. - Yo-less najwyraźniej lekceważył ów przypadek. - Jakby wyginał razem z resztą siedemdziesiąt miliardów lat temu, nie byłoby teraz problemu. Nie ma się czym podniecać.

- Tak, ale...

- A potem też poważnie widziałeś zaginione miasto Inków - przypomniał Wobbler.

- Znalazłem je w końcu, nie?

- Znalazłeś, tylko ono nie było zaginione, a było za Tesco, a to nie to samo - przypomniał Yo-less. - Reszta mniej więcej się zgadza.

Bigmac westchnął.

- Wszyscy macie świra - ocenił.

- Może mam świra, a może mi się przywiduje - zgodził się Johnny. - Przekonamy się po lekcjach.

- Cóż... - zaczął Wobbler i zamilkł.

- Chyba się nie boisz? - Johnny użył argumentu, który musi zadziałać. - Co prawda dałeś nogę, kiedy Alderman wyszedł...

- Nie widziałem żadnego Aldermana i się nie bałem! - oburzył się Wobbler. - Chciałem się z tobą po- ścigać.

- Patrzcie, ludzie! - sapnął z uznaniem Johnny. - To ci się konkursowe udało mnie nabrać.

- Czego niby miałbym się bać? - zaperzył się Wobbler. - Oglądałem "Noc żywych trupów" trzy razy. Ze stop-klatką.

- W takim razie przyjdiesz - zdecydował Johnny. - Wszyscy przyjdziecie. Po szkole.

- Po "Dynastii" - poprawił go Bigmac.

- Słuchaj no, to jest chyba ważniejsze od głupiego... - zaczął Johnny.

- Może i głupiego, ale wszyscy na to patrzą i jak się nie ogląda, to potem nie ma o czym z nikim rozmawiać - poparł Bigmaca Wobbler.

- No dobrze, po "Dynastii" - ustąpił Johnny.

- A potem obiecałem bratu, że mu pomogę załadować furgonetkę - dodał Bigmac. -

No... to znaczy on powiedział, że mi nogi z dupy powyrywa, jak mu nie pomogę.

- A ja muszę się zająć zadaniem domowym z geografii - włączył się Yo-less.

- Przecież nic nie zadali?!

- Nie, ale esej o lasach tropikalnych mógłby mi ładnie poprawić średnią.

Tekst ten dla każdego, kto nie znał Yo-lesa, byłby zaskakujący. Dla tych, którzy go znali, był czymś zupełnie normalnym. Yo-less po prostu taki był: nosił mundurek, choć to już nie był mundurek. W praktyce bowiem nikt poza Yo-lessem go już nie nosił. Jak słusznie zauważył Wobbler, teraz mundurek to dżinsy i T-shirt, bo wszyscy w tym chodzą. Wobec tego Yo-less powinien zostać ukarany za brak praktycznie obowiązującego szkolnego uniformu.

- W takim razie - westchnął Johnny - spotkajmy się koło szóstej pod blokiem Bigmaca. - To i tak w pobliżu cmentarza.

- Ale wtedy już się będzie ściemniać - zauważył Wobbler.

- No to co? Przecież się nie boisz - przypomniał Johnny.

- Kto? Ja? Bać się? Też coś. Bać się...

Jeśli chodzi o listę miejsc wzbudzających strach, zwłaszcza po zmroku, to wieżowiec imienia Joshuy N'Clementa plasował się znacznie wyżej niż zwykły cmentarz. I to w zgodnej opinii większości mieszkańców Blackbury. Nieboszczyk, jakkolwiekby był złośliwy, nie mógł człowieka pobić i obrabować.

Pierwotnie wieżowiec miał nosić imię sir Aleca Douglasa, potem Harolda Wilsona, a w końcu nowa rada ochrzciła go imieniem Joshuy Che N'Clementa, będącego wówczas słynnym bojownikiem o wolność, który skończył jako prezydent jakiejś (wyzwolonej przez siebie) bananowej republiki. Po krótkim okresie rządów stał się eksbojownikiem o wolność i eksprezydentem i znalazł się gdzieś w Szwajcarii. Stan ten trwał do chwili obecnej. Podobnie zresztą jak upór jego rodaków pragnących w bezpośredniej rozmowie uzyskać od niego odpowiedzi na szereg pytań zaczynających się od następującego: "Co się stało z dwustoma milionami dolarów, bo myśleliśmy, że je mamy, i jakim cudem twoja żona ma

siedemset kapeluszy?”

W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym pisano o nim jako o “zapierającym dech, dynamicznym połączeniu pustki i materii, majestatycznym w swej bezkompromisowej prostocie”. Ma się rozumieć, pisano tak o budynku, nie o N’Clemencie. Od tego czasu pisano o nim wiele - najczęściej w “Blackbury Guardian” - i to zdecydowanie mniej pochlebnie. Wciąż zresztą zapierał dech z dwóch powodów: po pierwsze windy przestały działać krótko po oddaniu go do użytku (konkretnie od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego - wtedy ostatecznie zdecydowały, że boją się wyjechać z piwnicy), po drugie nawet w ciepłe i bezwietrzne dni po korytarzach hulały przeciągi co się zowie. Zastrzeżenia zresztą bywały najrozmaitszej natury: wilgoć, zimno, wypadanie okien (nie zawsze z futrynami) czy szalejące po bloku gangi. Ulubionym zajęciem tychże były wyścigi na wózkach sklepowych po korytarzach (“ekscytująco brutalnych w nie wygładzonym betonie”), a gdy wózek odmawiał dalszej współpracy, spychano go z dachu na coś, co w teorii miało być klombem. Stało się zaś cmentarzyskiem zagubionych wózków.

Na korytarzach dominowały dwa zapachy w zależności od tego, czy wyznaczony przez radę dozorca-komandos odważył się posprzątać czy też nie. Ponieważ dozorczy też miewają instynkt samozachowawczy, najczęściej czuć było ten drugi.

Zdecydowanie nikt nie lubił wieżowca. Istniały natomiast dwie szkoły, co z nim zrobić. Pierwsza głosiła, że należy ewakuować mieszkańców i go wysadzić, druga, że po prostu wysadzić. Zwolennikami pierwszej byli mieszkańcy budynku, zwolennikami drugiej ich sąsiedzi.

To, że postawiono go na otwartym placu, który miał zostać zazieleniony, a został zaśmiecony, nie przysparzało mu dobrej opinii.

- Upiorne miejsce - mruknął Wobbler.
- Ludzie muszą gdzieś mieszkać - przypomniał mu Yo-less.
- Uważasz, że ten, co go zaprojektował, też tu mieszka? - wtrącił się Johnny.
- Szczerze wątpię.
- Oho, jest brat Bigmaca - szepnął Wobbler. - Uwaga! Może tu być jeszcze gdzieś

Clint!

Brat Bigmaca cieszył się zasłużoną opinią wytatuowanego i ćpającego świra, który utrzymywał się z nie opodatkowanego handlu kradzionym (choć fabrycznym) sprzętem audio- wideo. Do innych jego osiągnięć należało wyrzucanie mebli przez okno, gdy się złościł, wykończenie chomika Bigmaca kilka lat temu i posiadanie Clint. Chomika wykończył przypadkiem, próbował bowiem go karmić tym, co sam jadł i pił. Chomik okazał się nieodporny. Co się tyczy Clint, był to pies usunięty z klubu mieszanych rottweilerów i bulterierów za wyjątkową wredność i agresywność.

- Nie ma się co dziwić, że Bigmac chce do wojska - stwierdził poważnie Yo-less.
- Ma nadzieję, że na pierwszą przepustkę przyjedzie z bronią - dodał Wobbler.
- Jakby przyjechał czołgiem, to może by się skończyły problemy z tym budynkiem - dokończył w zamyśleniu Johnny.

Furgonetka brata Bigmaca parkowała tam, gdzie teoretycznie było miejsce do mycia i suszenia pojazdów. Nikomu to nie robiło różnicy, jako że i tak była jedynym nie kradzionym pojazdem w okolicy. Każde drzwi, podobnie jak maskę, miała w kolorze odmiennym niż reszta karoserii, a teraz do kolumny kierownicy miała jeszcze przykutego Clint. To ostatnie ze względu na ładunek.

- Dziwne - stwierdził nagle Johnny. - Jak się nad tym zastanowić, to naprawdę dziwne...
- Co mianowicie? - spytał Yo-less.
- Zobaczcie: duży, przestronny cmentarz dla zmarłych i gnieźdzący się na kupie żywi w czymś takim... Coś się komuś chyba pomyliło...

W drzwiach wyjściowych pojawił się Bigmac, z trzema pudłami wideo w objęciach. Zatargał je do furgonetki, włożył i rozejrzał się szybko.

- Cześć, chłopaki.
- Brat gdzie?
- Na górze. Idziemy.
- Zanim znajdzie się na dole, masz na myśli - dodał Wobbler.
- Zamknij się i gazu!

* * *

Wiatr szumiał w topolach i szeptał między nagrobkami.

- Nie wiem, czy to jest w porządku - odezwał się Wobbler, gdy dotarli do głównej bramy.

- Krzyży to tu masz aż za dużo - zwrócił mu uwagę Yo-less.

- Może, ale jestem ateistą.

- No to nie powinienes wierzyć w duchy...

- Obywateli w wieku pożyciowym - poprawił go Bigmac.

- Bigmac - powiedział nagle dziwnie miękko Johnny. - Tak?

- Co tam ściskasz za plecami?

- Nic! Zupełnie nic.

Wobbler sprawdził podejrzone miejsce.

- Kawał zaostzonego drewna - zameldował. - I młotek.

- Bigmac!

- No co? Nigdy nic nie wiadomo...

- Zostaw to! Tu i teraz!

- No już dobrze. Skoro tak ci na tym zależy.

- Poza tym kołek jest na wampiry, nieuku - westchnął zrezygnowany Yo-less. - Nie na duchy...

- A co jest na duchy? - zainteresował się Wobbler.

- Słuchajcie! To zwykły cmentarz - jęknął Johnny. - To nie Transylwania! Tu są tylko zmarli. Kiedyś przestrzegali prawa i żyli jak porządni ludzie, dlaczego teraz nie mają zachowywać się jak porządni zmarli? Nie dajmy się zwariować! Wobbler, jakby tu byli pochowani żywi, tobyś nie miał oporów, nie?

Ponieważ nikt nie znalazł na to kontrargumentu, ruszyli dalej Drogą Północną.

Zadziwiające, jak dźwięki niknęły na cmentarzu. Od drogi oddzielały ich jedynie drzewa i zarośnięte tory, ale odgłosy ulicy były przytłumione, jakby znaleźli się pod grubym kocem. Cisza była wszechobecna i przytłaczająca. Chwilami wydawało się, że cisza hałasuje.

Na jednym z drzew zakrakała wrona (albo kruk - żaden z nich nie był zbyt mocny w ornitologii). Krakanie zresztą też nie przerwało ciszy, raczej ją podkreśliło.

- Jak tu cicho i spokojnie... - mruknął Yo-less.

- Cicho jak w grobie - dodał Bigmac. - Hi, hi.

- To nie był najlepszy dowcip twojego życia - stwierdził z pretensją Wobbler.

- W dzień dużo ludzi tu spaceruje - powiedział ni z tego, ni z owego Johnny. - Park jest z drugiej strony miasta, a tu wszędzie rośnie trawa, krzewy, drzewa...

- Środowisko naturalne - podpowiedział Yo-less. - I pewnie jakaś ekologia do tego - dodał Johnny.

- Hej, spójrzcie na ten grób - ożywił się Wobbler.

Spojrzeli.

Grobowiec był z czarnego marmuru, podobnie jak otaczające go aniołki, Madonna i portal nad wejściem. Przy drzwiach (z kłódką) znajdowało się okienko z fotografią i mosiężny napis:

ANTONIO VICENTI

1897-1958

Nawet wśród grobowców było to zjawisko porównywalne do rolls-royce'a wśród samochodów.

- To się nazywa grób - przyznał Bigmac.

- Na co komu taki portal? - zdziwił się Wobbler.

- Na pokaz - uświadomił go Yo-less. - Pewnie jeszcze ma z tyłu nalepkę: "Mój drugi grób to porsche".

- Yo-less! - jęknął Johnny. - Zachowuj się!

- Prawdę mówiąc, uważam, że zachował się całkiem zabawnie - odezwał się pan Vicenti.

Johnny odwrócił się. Powoli.

O nagrobek opierał się mężczyzna w eleganckim czarnym smokingu z goździkiem w

klapie. Miał czarne, przyлизane włosy i wyglądał nieco szarawo, jakby światło nań źle padało.

- Mógłbym się dowiedzieć, na czym właściwie polega ten dowcip? - spytał z nienaganną uprzejmością pan Vicenti.

- Hmm... pełno jest teraz takich nalepek na samochody "Mój drugi wóz to porsche"

- wyjaśnił Johnny. - Na jakimś zardzewiałym wraku to nawet śmiesznie wygląda. Tutaj nie bardzo pasowało.

- Porsche, jak rozumiem, to marka samochodu?

- Drogiego i ekskluzywnego. To nie był najlepszy żart i Yo-less powinien to wiedzieć.

- Nie każdy żart jest zawsze dobry. Wiem coś o tym, bo w starym kraju zajmowałem się sztuczkami magicznymi. Głównie z gołębiami i głównie dla dzieci - wyjaśnił pan Vicenti.

- Zawsze lubiłem żarty.

- W starym kraju...?

- W kraju żywych.

Pozostała trójka przyglądała się Johnny'emu tyleż uważnie, co podejrzliwie.

- Przestań się wygłupiać! - odezwał się Wobbler. - Tam... tam nikogo nie ma!

- Zajmowałem się także ucieczkologią - dodał pan Vicenti, odruchowo wyciągając jajko z ucha Yo-lesa.

- Johnny, gadasz z powietrzem - poinformował go Yo-less.

- Ucieczkologią? - zdziwił się Johnny.

- Czym? - zdziwił się jeszcze bardziej Bigmac.

- Uciekaniem z różnych miejsc i sytuacji - wyjaśnił pan Vicenti, rozbijając jajko, z którego wyleciał duch gołębia i znikł wśród drzew. - Worki, kajdanki, łańcuchy to moja specjalność. Podobnie jak Houdini, tylko w półprofesjonalny sposób. Najlepszy mój numer to ucieczka pod wodą z zaplombowanego worka z sześciometrowym łańcuchem i trzema parami kajdanek.

- Ile razy się to panu udało? - Johnny był pod wrażeniem.

- Prawie raz.

- Dobra, nikogo nie nabrałeś, to skończ z tym - zniecierpliwił się Wobbler. - Czas wracać.

- Zamknij się łaskawie, zaczyna być interesująco - poinformował go Johnny.

Od dłuższej chwili wokół rozlegał się coraz głośniejszy szelest, jakby ktoś szedł po suchych liściach, tyle że bardzo, bardzo powoli.

- A ty jesteś Johnny Maxwell - dodał pan Vicenti. - Alderman opowiedział nam o tobie.

- Nam?

Szuranie przybrało na sile.

Johnny rozejrzał się.

- On się nie wygłupia - ocenił Yo-less. - Spójrzcie na jego minę!

Johnny tymczasem usiłował sobie wmówić, że nie może się bać.

Średnio mu to wychodziło.

Słońce skryło się za topolami, nad ziemią unosiła się cienka warstwa mgły, a przez nią powoli nadchodzili zmarli.

I to, że parę lat temu większość z nich żyła, była dziadkami i strzygła ogródki, i że na dobrą sprawę nie miał najmniejszych powodów do obaw, absolutnie niczego nie zmieniało...

Rozdział trzeci

Johnny doskonale widział Aldermana, Stickersa i mnóstwo innych. Starą kobietę w długiej sukni i kapeluszu pokrytym owocami, dzieci biegnące przodem i setki innych. Nikt się nie snuł ani nie był zielonkawy. Byli po prostu szarzy i nieco nieostrzy.

Kiedyś słyszał, że strach pomaga zauważać detale. Teraz miał okazję się o tym przekonać.

Zmarli różnili się między sobą właśnie drobiazgami - pan Vicenti wyglądał prawie jak żywy, Stickers był nieco bardziej bezbarwny, Alderman zaś przezroczysty na brzegach. Wielu innych, w wiktoriańskich strojach, było całkowicie bezbarwnych i prawie całkowicie przezroczystych. Można śmiało powiedzieć, że byli ukształtowanym powietrzem. Ale powietrzem, które się przemieszczało. I nie chodziło o to, że im bliżej są, tym stają się wyraźniejsi - normalne trzy wymiary nie miały z tym absolutnie nic wspólnego. Może rzeczywiście byli gdzieś dalej w jakimś dziwnym wymiarze, ale Johnny nie próbował nawet zgadnąć jego numeru.

Wobbler, Bigmac i Yo-less wciąż mu się przyglądali, tyle że mniej podejrzliwie.

- Johnny? - spytał Wobbler. - Nic ci nie jest?

Johnny przypomniał sobie przykład z podręcznika geografii na temat przeludnienia. Na każdego żyjącego przypadało około dwudziestu ludzi (a raczej nieboszczyków), i to licząc wyłącznie historycznie udokumentowane dzieje ludzkości.

Inaczej mówiąc, za każdym żywym człowiekiem stało dwudziestu nieżywych.

Za Wobblerelem może nie stało dwudziestu, ale w każdym razie wielu. Johnny był jednak pewien, że poinformowanie go o tym nie byłoby dobrym posunięciem.

- Zimno się zrobiło - zauważył Bigmac.

- Powinniśmy wracać - powtórzył niepewnie Wobbler. - Chyba powinienem wziąć się do lekcji...

Był to najlepszy dowód, że Wobbler się boi, ponieważ żadna inna siła nie byłaby w stanie zagonić go do tego zajęcia. Wniosek był prosty - na Wobblera skuteczni okazali się

jedynie zombi, generalnie rzecz ujmując.

- Nie widzicie ich - domyślił się Johnny. - Są wszędzie wokół, a wy ich nie widzicie...

- Żywi przeważnie nie widzą zmarłych - dodał pan Vicente. - Pewnie dla własnego dobra.

Bigmac, Wobbler i Yo-less zbili się w gromadkę.

- Dobra, przestań już, co? - zaproponował Bigmac.

- On się stara nas przestraszyć... - wykrztusił Wobbler. - Ale to mu się nie uda...

Chodźcie, chłopaki, wracamy...

I zrobił dwa kroki dla potwierdzenia niezłomności swej decyzji.

- Poczekaj! - zatrzymał go Yo-less. - Tu się dzieje coś dziwnego...

Rozejrzał się po pustym i cichym cmentarzu. Nawet wrona odleciała (a może był to kruk).

- Coś dziwnego... - powtórzył.

- Rozejrzyjcie się - spróbował raz jeszcze Johnny. - Są tutaj. Są wokół nas.

- Przestań satanizować, bo powiem mamie! - zirytował się Wobbler.

- Johnny Maxwell!! - zagrział Alderman. - Musimy z tobą porozmawiać!

- Tak jest! - zawtórował mu William Stickers. - To ważne!

- O czym? - spytał Johnny, gotów do biegu.

W zasadzie się nie bał.

W zasadzie już nie.

- O tym! - Stickers machnął gazetą.

Wobbler jęknął - w powietrzu unosiła się zwinięta gazeta.

- <i>Poltergeist</i>! - zawyrokował. - Zawsze jak ktoś dorasta, to takie jaja się wyprawiają! Czytałem gdzieś o tym... Ale mógłbyś tłuc talerze w domu siłą woli, a nie ciągać nas w tym celu na cmentarz! - Ostatnie zdanie skierowane było do Johnny'ego.

- O czym on mówi? - zaciekał się Alderman.

- To się prawdopodobnie da naukowo wytłumaczyć... - powiedział niepewnie Yo-less.

- Jak? - spytał Bigmac z nadzieją.

- Właśnie próbuję coś znaleźć.

- Gazeta się otwiera!

William Stickers rozłożył gazetę, szukając konkretnego artykułu.

- To pewnie jakiś wiatr błędzący - zawyrokował Yo-less, cofając się o krok.

- Tu nic nie wieje! - to był Bigmac.

- Przecież mówię, że błędzący!

- Zaraz ja będę wiał! - zdenerwował się Wobbler. - I co zamierzasz z tym zrobić?! - chciał wiedzieć Aldermann.

- Czy wszyscy na chwilę mogliby się zamknąć? - uciał Johnny.

Nawet zmarli go posłuchali.

- Dobrze - odetchnął Johnny. - Słuchajcie... hmm, chłopaki... ci... ludzie... chcą z nami porozmawiać... No... przynajmniej ze mną...

Yo-less, Wobbler i Bigmac jak urzeczeni wpatrywali się w rozpostartą gazetę wiszącą nieruchomo mniej więcej metr nad ziemią.

- Czy to są... poszkodowani na oddechu? - spytał nieśmiało Wobbler.

- Przestań głupieć - parsknął Yo-less. - Trzeba nazywać rzeczy po imieniu... ludzi też! To się nazywa odwaga cywilna, Wobbler! Czy to są... obywatele w wieku pośmiertnym?

- Czy oni się snują? - zebrał się na odwagę Wobbler.

Cała trójka stała tak blisko siebie, że wyglądała na pękatego osobnika o sześciu nogach.

- Nic nam o tym nie powiedziałaś - odezwał się Alderman.

- O czym? - spytał słabo Johnny. - Tam piszą mnóstwo różnych rzeczy...

- To się nazywa gazeta. Przynajmniej tak tu pisze. A przecież tu są zdjęcia kobiet! Mogą je zobaczyć godne szacunku, zamężne niewiasty albo małe dzieci!

William Stickers ze sporym wysiłkiem trzymał gazetę otwartą na stronie ze zdjęciem grupy dziewcząt na pływalni miejskiej. Zdjęcie zresztą było podłej jakości, co Johnny stwierdził na własne oczy, zaglądając mu przez ramię.

- O co chodzi? - zdumiał się szczerze. - Przecież mają kostiumy kąpielowe?!

- Kostiumy kąpielowe? - teraz zdziwił się Alderman. - Przecież widać im całe nogi!

- I co w tym złego? - parsknęła starsza jejmość w owocowym kapeluszu. - Zdrowe ciała gimnastykujące się na bożym słońcu. I w dodatku w bardzo praktycznych ubiorach.

- Praktycznych, szanowna pani? Wolę nie myśleć do czego!

- Dama w kapeluszu to pani Sylvia Liberty - szepnął pan Vicenti, pochylając się ku Johnny'emu. - Zmarła w tysiąc dziewięćset czternastym jako nieustrudzona sufrażystka.

- Statystka?

- Sufrażystka! Czego was teraz w szkołach uczą?! Sufrażystki walczyły o prawo kobiet do głosowania. Miały zwyczaj przykuwać się do balustrad i obrzucać policjantów jajami. No i naturalnie rzucać się pod konia księcia Walii podczas wyścigów.

- I co, ten koń ją załatwił?

- Niezupełnie. Pani Liberty pomyliły się instrukcje i rzuciła się pod księcia Walii.

- I co z tego?

- Śmierć na miejscu: to był naprawdę masywny jegomość - wyjaśnił z dezaprobatą pan Vicenti.

- Może byście zaprzestali tych burżuazyjnych dyskusji? - zdenerwował się Stickers.

- Mamy ważniejsze sprawy! - I potrząsnął gazetą.

Wobbler nerwowo przełknął ślinę.

- Tu pisze, że mają zamknąć cmentarz! Gorzej: że mają zbudować cmentarz! Wiesz o tym? - No... wiem... hmm... a wy nie wiecie?

- Myślisz, że ktoś nam powiedział?

- Co oni mówią? - zainteresował się Bigmac.

- Zdenerwowali się sprzedażą cmentarza. Jest o tym artykuł w gazecie.

- Pośpiesz się, bo nie mogę jej dłużej utrzymać... - jęknął Stickers.

Rzeczywiście - gazeta wpierw opadła, a potem wypadła mu przez ręce i wylądowała na ścieżce.

- Co to się z człowiekiem porobiło... - mruknął Stickers ze smutkiem.

- Na pewno błędny wiatr - ocenił Yo-less. - Nic nadnatural...

- To nasz dom! - zagrzemiał Alderman. - Co się z nami stanie, młody człowieku?

- Momencik - odparł Johnny. - Yo-less?

- Tak?
- Oni chcą wiedzieć, co się z nimi stanie, jak zabudują cmentarz.
- Zmarli chcą to wiedzieć?
- Tak. - Alderman i Johnny wystąpili chórem.
- Założę się, że Michael Jackson nie miał takich problemów - mruknął Bigmac.
- Widziałem film, w którym zbudowano osiedle na cmentarzu - odezwał się Wobbler.
- Ktoś wykopał sobie basen i wszystkie szkielety wyszły i próbowały udusić ludzi...
- Dlaczego? - zaniepokoił się Alderman.
- On chce wiedzieć, dlaczego - powtórzył Johnny. - A skąd ja mam wiedzieć? Nigdy nie byłem szkieletem.
- To widać - przyznał Bigmac, spoglądając wymownie na jego obfite kształty.
- Myślę, że trumny... i resztę wykopuje się i umieszcza gdzie indziej. - Yo-less nie był zbyt pewien tego, co mówi. - Są takie specjalne miejsca...
- No nie! - zirytowała się pani Liberty. - Zapłaciłam za miejsce pięć funtów, siedem szylingów i sześć pensów i dokładnie pamiętam, co podpisywałam! Dokument nazywał się "Miejsce ostatniego spoczynku" i nic tam nie pisano, że po osiemdziesięciu latach będą mnie wykopywać i przenosić, żeby ci, co żyją, mogli sobie zbudować... co właściwie mają zbudować?
- Nowoczesne wielofunkcyjne biura - odparł William Stickers. - Cokolwiek to znaczy.
- I na dodatek sprzedali ten teren za pięć pensów - dodała pani Liberty. - Wstydu nie mają, ot co!
- Właśnie! - zawtórował jej Stickers. - Nikt nie zwraca uwagi na uciskane masy...
- Widzicie, rada twierdzi, że utrzymanie cmentarza za drogo kosztuje - dodał Johnny.
- A wartość ziemi...
- A co na to władze municypalne Blackburny? - przerwał mu Alderman.
- Pojęcia nie mam, nigdy o nich nie słyszałem - przyznał uczciwie Johnny. - Słuchajcie, rozumiem, że jesteście zdenerwowani, ale to naprawdę nie moja wina. Mnie też się tutaj podoba i nie podoba mi się to, co chcą zrobić z cmentarzem.
- W takim razie co zamierzasz zrobić? - spytał Alderman.

Johnny cofnął się odruchowo, ale trafił plecami na grobowiec Vicentiego.

- No nie! - jęknął. - Dlaczego ja?!

- A dlaczego nie? - spytała rzeczowo pani Sylvia Liberty. - W końcu ty nas widzisz i słyszysz.

- A nikt inny nie - dodał pan Vicenti. - Inni nas nie zauważają.

- Sprawdzaliśmy cały dzień - przytaknął Alderman.

- Ani psy, ani ludzie - westchnął Stickers. - Wszyscy tylko gdzieś się spieszą i spieszą.

- Nawet pani Tachyon nas nie widzi - dodał pan Vicenti.

- A przecież jest szalona, to powinno pomóc - wyjaśnił Alderman. - Biedactwo.

- Jak więc widać, pozostałeś tylko ty - zakończył poważnie William Stickers. - Musisz więc pójść i powiedzieć władzom tego miasta, jakkolwiekby się tam nazywały, że my... się., stąd... nie... ruszymy!

- Przecież ja mam tylko trzynaście lat! Nikt mnie nie będzie słuchał! Ja nawet nie mam prawa głosu!

- Ale my mamy - odparł Alderman.

- A mamy? - zdziwił się pan Vicenti.

Zmarli skupili się wokół niego niczym drużyna baseballowa.

- Przecież mamy więcej niż dwadzieścia jeden lat? Technicznie rzecz biorąc, naturalnie.

- Mamy, ale jesteśmy martwi - przypomniał pan Vicenti.

- Teraz można głosować, jak się ma osiemnaście lat - wtrącił się Johnny.

- Nic dziwnego, że ludzie nie mają szacunku - oburzył się Alderman. - Zawsze mówiłem, że jak się da prawo głosu kobietom, to potem będzie coraz gorzej...

Pani Liberty posłała mu miazdzące spojrzenie.

- Poza tym nie można używać martwych głosów - przypomniał William Stickers. - Byłem kandydatem Solidarnościowo- Rewolucyjnej Robotniczej Bratniej Partii, to wiem.

- Nic nie wiesz, bo to stary jak świat sposób na fałszowanie wyborów - ostudził go Alderman. - Nikt nie będzie wykorzystywał mojego głosu: sam go wykorzystam. I nie ma

takiego prawa, które mogłoby mi tego zabronić.

- Dobrze mówi.

- Służyłem uczciwie temu miastu ponad pięćdziesiąt lat i nie widzę powodu, dla którego mam stracić swoje prawo głosu - dowodził Alderman. - To, że jestem martwy, to żaden powód. Mamy w końcu demokrację, tak czy nie?

- Ludową demokrację - dodał Stickers, ale jakoś bez przekonania.

Odpowiedziała mu zresztą cisza.

- No cóż... - Johnny był autentycznie nieszczęśliwy. - Zobaczę, co się da zrobić...

- Dobry chłopak - ucieszył się Alderman. - I bylibyśmy wdzięczni, gdybyś pamiętał o świeżej prasie.

- Żeby tylko nie było tak trudno przewracać stron... - westchnął pan Vicente.

- Cóż, teraz po prostu musimy wiedzieć, co się dzieje - oznajmiła pani Liberty. - Gdy tylko człowiek przestanie uważać, aż strach pomyśleć, co ci żywi mogą jeszcze przedsięwziąć!

- Pomyślę o czymś - obiecał Johnny. - Może... może lepszym niż gazeta...

- Doskonale - pochwalił go William Stickers. - I powiedz tej całej radzie czy jak im tam, że...

- Że nie będziemy się temu beczynnie przyglądać! - dodał Alderman.

- Mogę spróbować... tylko wątpię, żeby mnie chcieli słuchać...

- A to jeszcze zobaczymy... - rzucił na pożegnanie Alderman i wypłowił do reszty.

Pozostali stopniowo zrobili to samo.

- I co? Poszli sobie? - spytał z nadzieją Wobbler.

- Nie poszli, tylko odeszli - uświadomił go Yo-less. - Zmarli nie muszą chodzić.

- Nieważne. Są czy ich nie ma? - Wobbler był zdecydowany uzyskać odpowiedź na najważniejsze chwilowo pytanie zaraz, natychmiast.

- Byli i już ich nie ma - poinformował go Johnny.

- Faktycznie, dziwnie tu jakoś było - zgodził się Bigmac. - Zimno i jakoś tak...

- Chodźmy - zaproponował Johnny. - Muszę to wszystko przemyśleć... chcę, żebym powstrzymał zabudowę cmentarza.

- Jak?

- Tego mi akurat nie powiedzieli - odparł, ruszając ku bramie.

- Pomożemy ci - obiecał Yo-less. - Pomożemy?! - Wobblera zatkało na moment. -

Johnny jest w porządku, ale... no przecież to okult... twoja matka dostanie szału.

- Regularnie dostaje szału, można się przyzwyczaić - uspokoił go Yo-less. - Poza tym pomagamy chrześcijańskim duszom, więc powinna się cieszyć. One są chrześcijańskie, Johnny?

- Myślę, że jest też i żydowska część cmentarza.

- A to w porządku - podsumował Bigmac. - Żydzi i chrześcijanie to to samo.

- No, nie tak do końca - sprostował Yo-less. - Ale podobne.

- No tak... - Wobbler nie poddawał się tak łatwo. - Ale... oni są martwi... jak on ich widzi... to tego... no to niech działa... to znaczy...

- Wszyscy pomagaliśmy Bigmacowi, jak go posłali na kolegium, prawda? - w tonie Yo-lesa pojawiły się groźne nutki.

- Powiedziałeś, że go chcą powiesić! - oburzył się Wobbler. - Co to za porządki, żeby mi kumpla wieszali!

- To była sprawa polityczna - dodał Bigmac.

- Ukradłeś samochód ministra edukacji, jak przyjechał otworzyć szkołę? Ukradłeś - przypomniał mu Yo-less.

- Nie ukradłem, tylko pożyczyłem. Chciałem mu go oddać.

- I z dobrych chęci wjechałeś w ścianę? Mógłbyś mu go oddać chyba na taczce.

- A co, może to moja wina, że miał nawalone hamulce?! Mogło mi się coś stać! - oburzył się Bigmac. - Na to nikt nie zwrócił uwagi. W sumie to jego wina, że zostawiał byle gdzie byle jak zamknięte auto bez hamulców...

- Trudno wymagać, żeby taki duży minister sam naprawiał sobie hamulce!

- Duży to on faktycznie był - zgodził się Wobbler. - No to w takim razie wina społeczeństwa - nie ustępował Bigmac.

- Zaraz usłyszymy, że w gruncie rzeczy to zrobiłeś mu przysługę - wtrącił Johnny.

- Mógł się zabić, jakby szybciej jechał - zauważył wyjątkowo przytomnie Bigmac.

- Tak czy owak staliśmy murem za tobą - podsumował Yo-less.

- Przed nim wolałbym nie stać - dodał Wobbler z namysłem.

- I za Wobblerem też staliśmy, jak reklamował w sklepie kasetę, twierdząc, że słyszy wiadomość od Boga, gdy puszcza Cliffa Richarda od tyłu...

- Też mówiłeś, że słyszysz - przypomniał Wobbler. - Mówiłeś!

- Owszem, ale dopiero jak powiedziałaś, czego mam słuchać - przyznał Yo-less. - Przedtem to brzmiało mniej więcej tak, jakby ktoś wykręcał ośła: ayip-aye-ep-unwerp-ayeep .* [przyp.: Według Wobblera było to: "Dzieciaki! Łazić do szkoły i uczyć się, bo nauka to do wiedzy klucz, a jak się będzie miało dużo kluczy, to można zostać woźnym. I słuchać mi się rodziców".]

- I tak nie powinno tego tam być - upierał się Wobbler.

- Niech ci będzie. Nie o to mi teraz chodzi. - Yo-less zaczynał tracić cierpliwość. - Chodzi mi o to, że przyjaciółom trzeba pomagać, zgadza się?... Miłe, że żaden nie zaprzeczył... Otóż, choć osobiście uważam, że Johnny jest całkowicie niezrównoważony i cierpi na psychosomatyczne złudzenia wizualno- akustyczne, to i tak mu pomogę. I to, że prywatnie sądzę, iż powinni go zamknąć w tym oszczędnościowym szpitalu, gdzie klamki są tylko z jednej strony drzwi i to ubranego w jedno z tych twarzowych białych wdzianek z przedłużonymi rękawami i guzikami na plecach, nie ma na to żadnego wpływu, ponieważ jesteśmy przyjaciółmi.

- Czuję się wzruszony - poinformował go Johnny.

- Ja myślę - odparł Wobbler - ale to już twoje zmartwienie.

* * *

Matki nie było, bo miała nadgodziny, a dziadek oglądał telewizję. Konkretnie "Śmiechu warte".

- Dziadku?

- Tak?

- Jak słynny był William Stickers?

- Bardzo słynny - odparł dziadek, nie odrywając wzroku od ekranu.

- Ale w encyklopedii go nie ma.

- Bo go pewnie przez zazdrość nie umieścili. Był słynny, mówię ci... zobacz, tego... żeby rowerem do jeziora wjechać!

Johnny umilkł, zajęty tomem L-MIN. Sprawa z encyklopedią była o tyle ułatwiona, że był jej jedynym użytkownikiem. Dziadek był szczęśliwym posiadaczem wielotomowej edycji wydanej gdzieś tak w połowie lat pięćdziesiątych, ponieważ mniej więcej wtedy napadło go, by zdobyć wykształcenie. Kupił więc na wyprzedaży największą, jaka była. Potem mania mu przeszła i nawet nie otworzył żadnego tomu, ale porządny regał dla całości zbudował. W końcu dziadek doszedł do przekonania, że z książkami to tak jak z radioaktywnością: gdy się zgromadzi wystarczającą ich liczbę, to wiedza sama wycieknie, jak promieniowanie.

- A pani Sylvia Liberty? - spytał Johnny, odkładając tom z pewnym zniechęceniem.

- Kto?!

- Taka jedna stażystka... nie: sufrażystka. Walczyła, żeby kobiety mogły głosować.

- Nigdy o niej nie słyszałem.

- Nie ma jej ani pod "liberty", ani pod "sufrażystki". - Musiała za mało się starać...

Popatrz no, spadł z drabiny do stawu, hę, hę.

- Jego drabina, jego problem. A pan Antonio Vicenti?

- Co?! Stary Tony? Co znowu wymyślił?

- Zasłynął czymś?

Pierwszy raz wzrok dziadka opuścił ekran, ale nie trwało to zbyt długo.

- Miał sklep ze śmiesznymi rzeczami przy Alma Street. Tam, gdzie teraz jest ten wielopoziomowy parking. Można tam było kupić śmierdzącą bombę albo swędzący proszek. No a Tony robił magiczne sztuczki, jak dzieci miały przyjęcia urodzinowe... to było wtedy, kiedy twoja mama była małą dziewczynką.

- Czyli był sławny?

- Wszystkie dzieciaki go znały. I jego, i jego sztuczki... Tak, Alma Street to była taka radosna ulica... Paradise Street też... i Balaclava Terrace, tam się urodziłem: pod numerem dwunastym... Teraz tam wszędzie jest parking. No nie, zaraz się wywróci przez tego psa!

- Czyli tak naprawdę nie był sławny.

- Był jeńcem u Niemców, ale uciekł. Ożenił się z... Ethel Plover, tak jest. Nigdy nie mieli dzieci. Zawsze starał się z czegoś uciec... tak, ucieczki to była jego specjalność.

- I nosił w klapie goździk - dodał Johnny.

- A tak! I to codziennie świeży. Nigdy go bez niego nie widziałem. Zresztą, prawdę mówiąc, jego samego od lat nie widziałem...

- Dziadku?

- Wszystko się zmieniło... jak wychodzę do miasta, rzadko co rozpoznaję. Ktoś mi powiedział, że rozbierają fabrykę kaloszy...

- Dziadku, masz jeszcze to małe tranzystorowe radio?

- Jakie małe tranzystorowe radio?

- To, które miałeś.

- A co z nim?

- Mówiłeś, że za cicho gra.

- A, faktycznie - zgodził się dziadek.

- Mogę je wziąć?

- Myślałem, że masz tego... jak wy to nazywacie... o: jamnika.

- Mam. Ale to dla... przyjaciół. - Johnny z natury był uczciwy, głównie dlatego, że porządne kłamstwo było naprawdę skomplikowaną sprawą.

- Możesz. Tylko musisz włożyć nowe baterie, bo ze starych to już pewnie nic nie zostało.

- Włożę.

- Już nie robią porządnych tranzystorów; jak byłem młody, to były porządne, nie to co teraz... Hę, hę, o, i do przerębla, cymbał jeden!

* * *

Przed szkołą Johnny wybrał się na cmentarz. Brama była zamknięta, ale w murowanym ogrodzeniu było tyle dziur, że mógłby się tamtędy przedostać pluton piechoty. Zamykanie bramy nie miało w tej sytuacji sensu, ale ktoś się ciągle tym zajmował.

Radio umieścił w foliowym woreczku (na okoliczność wilgoci), a wcześniej wymienił

w nim baterie, czyli najpierw wyskrobał resztki starych, a potem założył nowe. Po przeczyszczeniu styków zaczęło działać.

Cmentarz był opuszczony - nie było tam żywej duszy (martwej też). Za to była cisza, martwa, porządna cisza. Uszy by strzygły, gdyby mogły, w poszukiwaniu dźwięku.

Johnny spróbował ją wypełnić:

- Hm... Jest tu kto?

Zza pobliskiego nagrobka wyskoczył zdeglustowany lis i zniknął w krzakach po drugiej stronie ścieżki.

- Nie o ciebie mi chodziło!... halo, to ja!

Brak zmarłych był znacznie bardziej denerwujący niż ich obecność - co Johnny stwierdził z pewnym zaskoczeniem.

- Przyniosłem radio - powiedział mimo wszystko. - Pewnie będzie wam łatwiej kręcić gałką, niż przekładać strony. Sprawdziłem w encyklopedii: wyszło, że większość z was powinna wiedzieć, co to takiego i jak je obsługiwać. Włożę je za grobowiec pana Vicentiego, to będziecie mieli łatwy dostęp... I hm... no, trochę w nocy myślałem... i wyszło mi, że jakby ludzie się dowiedzieli, że leży tu ktoś... no... sławny, to zostawiliby was w spokoju. Wiem, że to nie najlepszy pomysł, ale chwilowo jedyny, na jaki wpadłem. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, to zrobię listę...

Odpowiedziała mu cisza.

Johnny miał nadzieję, że pan Vicenti się zjawi. W sumie nawet go lubił, może dlatego, że stosunkowo krótko był zmarłym. No, w każdym razie wydawał się przyjaźniejszy. A na pewno mniej sztywny.

Nie mając nic więcej do roboty, za to dysponując wolnym czasem, przespacerował się po okolicy i odczytywał napisy na płytach. Niektóre były ozdobne i wyszukane, inne proste, ale tylko przy jednym wy- rzeźbiono parę piłkarskich butów. Obok nich był napis:

STANLEY "BŁĄDZĄCY" ROUNDWAY

1892-1936

Ostatni Gwizdek

I byłby nie zauważył grobu ukrytego wśród drzew. Płyta była prosta, nawet nie ozdobiona zwyczajowo ohydnyim wzorem, a jedyne, co na niej napisano, to:

ERIC GRIMM

1885-1927

Żadnego krzyżyka, "świętej pamięci", czy choćby "zmarł", choć to ostatnie nie ulegało najmniejszej nawet wątpliwości. Mimo wszystko Johnny spisał jego nazwisko wraz z nazwiskiem piłkarza i kilkoma innymi.

A potem poszedł do szkoły.

Pan Grimm poczekał, aż Johnny wyjdzie z cmentarza. Dopiero potem się pojawił i odprowadził chłopca ponurym spojrzeniem.

Rozdział czwarty

Był późny ranek.

Albo bardzo wczesne popołudnie.

Jak kto woli.

W Civic Centre znajdowała się biblioteka. Tak nowoczesna, że nie było w niej bibliotekarek. Były asystentki informacyjne. I komputery. Wobbler miał tam oficjalny zakaz wstępu z powodu incydentu, w który zamieszcane były: komputer biblioteczny, łącze telefoniczne do odległej o dziesięć mil bazy lotniczej East Slate, inne łącze telefoniczne do amerykańskiej bazy pod górą Cheyenne i niemalże III wojna światowa. Oficjalnym powodem zaś było zapapranie klawiatury czekoladą.

Do przeglądarki mikrofilmów nikt mu jednak dostępu nie bronił, a jakby się uparł, to też mógłby tam sporo rzeczy zapaprać czekoladą.

Najwidoczniej obsługa nie zdołała wymyślić lepszego pretekstu.

- A tak w ogóle to czego szukamy? - spytał Bigmac.

- Prawie każdego, kto tu umarł - poinformował go Johnny. - Jeśli znajdziemy kogoś słynnego, kto tu żył, a potem znajdziemy go na cmentarzu, to będzie wtedy znane miejsce. W Londynie jest słynny cmentarz, bo tam leży Karol Marks, i nikt go nie zamierza zabudowywać.

- Karol Marks? A czym on zasłynął? - zainteresował się Bigmac.

- To ten niemowa, co grał na harfie, ty ignorancie jeden - oburzył się Wobbler.

- Sam jesteś ignorant - wtrącił się Yo-less. - Tamten to Harpo, Karol to ten z cygarem.

- Koniec wygłupów! - podsumował Johnny. - Karol Marks wynalazł socjalizm, w filmach występowali bracia Marks, jakby jeszcze któryś nie pamiętał. Szukamy w "Blackbury Guardian" góra sto lat wstecz, ale tylko na pierwszych stronach. Jak umiera ktoś sławny, to muszą o tym napisać na pierwszej stronie. Inaczej nie był wystarczająco znany.

- A na ostatniej stronie? - Bigmac był tego dnia żądny wiedzy.

- Po co ci ostatnie strony? - zdziwił się Johnny.

- Bo tam zawsze jest sport.

- Nie pomyślałem o tym. Słynny sportowiec też może być. Dobra, zaczynamy...

- Dobra, tylko...

- No, wykrztuś, Bigmac - zachęcił go Johnny. - Ten Karol Marks... to z czego on właściwie jest znany?

- On dowodził rosyjską rewolucją - odparł z pewną desperacją Johnny.

- Niczym nie dowodził! - sprzeciwił się Wobbler. - On tylko napisał książkę o tym, że najwyższy czas zrobić rewolucję, i opisał jak. Ruski tylko wykonali instrukcje, a dowodził nimi taki facet, mały, łysy, co to inaczej się nazywał, a inaczej do niego mówili. A w ogóle to ta cała rewolucja nazywa się październikowa, a była w listopadzie.

- Ten facet nazywał się Uljanow, a mówili mu Lenin - dodał Yo-less. - Zresztą było ich dwóch. Drugi był Stalin.

- We dwóch dowodzili rewolucją? - zdziwił się Bigmac. - To cud, że się nie pokłócili.

- Rewolucją dowodził Lenin, Stalin był później - w głosie Yo-lesa też pojawiła się desperacja. - Ale on też inaczej się nazywał, a inaczej mu mówili.

- A jak się nazywał?

- Bigmac! Co ja jestem, chodząca encyklopedia rewolucji?! Jakoś się nazywał. Tak, że wymówić się nie dało. A Stalin po angielsku to "człowiek ze stali".

- Też ładnie - przyznał Bigmac. - A co on mógł?

- Co miał móc? Rządził całym krajem, rozwalał, kogo chciał, i robił, co mu się podobało - jęknął Yo-less.

- Tylko tyle? - Bigmac był zawiedziony. - Myślałem, że latał albo skakał przez budynki, albo widział przez ściany...

- Bigmac, Stalin to nie jest odmiana Supermana! - Johnny pierwszy się połapał, o co tamtemu chodzi.

- Aha - Bigmac wciąż był zawiedziony.

- Swoją drogą zawsze uważałem za niesprawiedliwość, że tylko Amerykanie mają Supermana i innych - wtrącił z przekonaniem Wobbler. - My też powinniśmy mieć choćby

jednego.

Zapadła pełna zgody cisza.

- Chociaż, prawdę mówiąc - dodał Wobbler - to u nas miałyby kłopoty, żeby być chociaż Clarkiem Kentem.

W milczeniu skryli się pod kapturami czytników.

- Jak było Aldermanowi? - spytał po chwili Wobbler.

- Alderman Thomas Bowler, bo co?

- Bo tu pisze, że zmusił władze miasta do wybudowania w 1905 na rynku poidła dla koni, które bardzo szybko wielce się przydało.

- Dlaczego?

- Bo następnego dnia rozbił się o nie pierwszy samochód, jaki w ogóle wjechał do Blackbury. I zapalił. A oni wodą z poidła go ugasili... Tu pisze, że władze miasta chwaliły Aldermana Bowlera za przyszłościowe myślenie.

- Co to jest poidło dla koni? - Bigmac był niepoprawny.

- Ta wielka kamienna skrzynia przed budynkiem Towarzystwa Loggitt and Burnetfs - wyjaśnił Johnny. - Pełna ziemi, zesłych kwiatów i puszek po piwie. Dawniej była pełna wody, żeby konie od dorożek czy dyliżansów miały gdzie pić.

- Zaraz... skoro pojawiły się samochody, to po co było budować coś dla koni...

- Brawo, Bigmac! Jesteś lepszy od władz miejskich Blackbury z 1905 roku! - westchnął z uznaniem Yo-less.

- A teraz dość gadania i do roboty! - zakończył Johnny.

* * *

...Wiuuut... zbudowaliśmy to miasto na... wiiuuu... aktualnie telefonuje... szszszszsz... to na Numer Dwa... wiiii... spotkanie w Kijowie... szszszszsz... pranie... wszszwiuuu... dzisiaj...żżżżbż... czy mogłaby pani... wzzzzet...

Potencjometr małego radia tranzystorowego spoczywającego za grobem pana Vicentiego obracał się naprawdę powoli, jakby kręcono nim z dużym wysiłkiem. Od czasu do czasu nieruchomiał i wtedy w głośniku coś gadało albo szumiało, wyło czy zawodziło.

...szszszwiuuu... nasz następny rozmówca... wzzziut... Babilon...

Wokół radioodbiornika na sporej przestrzeni powietrze było lodowate.

* * *

W czytelni biblioteki miejskiej panowało pełne zacięcia milczenie, które personel, czyli asystentki informacyjne, przyprawiało o stan zbliżony do załamania nerwowego. Podejrzewały Wobblera o jak najgorsze pomysły, a im dłużej owe podejrzewania kwitły w spokoju, tym stan nerwowy podejrzewających stawał się gorszy - jedna nawet na wszelki wypadek miała w pogotowiu szmatkę do ścierania czekolady z klawiatury.

Wobbler i pozostali nie mieli o tym zielonego pojęcia.

- Spójrzmy prawdzie w oczy - odezwał się Wobbler. - Z tego miasta nie pochodzi nikt sławny. I tylko z tego jest znane!

- Tu pisze - odezwał się po chwili Yo-less - że Addison Vincent Fletcher z Alma Terrace wynalazł odmianę telefonu w 1922 roku.

- Wspaniale! - jęknął Wobbler. - Tyle że telefon wymyślili znacznie wcześniej.

- Tu pisze, że jego był lepszy.

- Pewnie - mruknął Wobbler z przekąsem. - A tak w ogóle to kto wymyślił telefon?

- Thomas Eddison - oświecił go Yo-less.

- Sir Humphrey Telephone - powiedział równocześnie Bigmac.

- Aleksander Graham Bell - dołączył do chóru Johnny. - Jaki znowu Humphrey Telephone?!

- Halo, panie Bell! - Wobbler nie dał się zbić z tropu. - Tu Fletcher z Blackbury. Wiem, że pan wcześniej wymyślił telefon, ale mój jest lepszy. I mam zamiar odkryć Amerykę. Co? Wiem, że Kolumb już to zrobił, ale mam zamiar zrobić to lepiej.

- To ma sens - poparł go Bigmac. - Jak już coś odkrywać, to lepiej, jak ma hotele, hamburgery i resztę.

- A ten Kolumb to kiedy odkrył Amerykę? - zaciekał się Wobbler.

- W 1492 - odparł Johnny - tylko podobno przed nim zrobili to wikingowie.

Cała trójka popatrzyła na niego w niemym podziwieniu.

- No co? Tak pisało w jakiejś książce... Bignac, co to za sir Humphrey Telephone?!

- Tak się powinien nazywać ten, co wymyślił telefon - wyjaśnił Bigmac. - Wymysły, to jest te... wynalazki nazywa się od wynalazców, nie?

- Fakt, nie nazwali telefonu: beli - przyznał Wobbler. - Ale nazwali tak to, co w nim dzwoni - wskazał Yo-less.

- No dobrze, ale teraz w telefonie nic nie dzwoni. - Wobbler nie ustępował. - I to od lat.

- A to dzięki słynnemu wynalazkowi Freda Buzzera zwanego Brzęczykiem - odparł z kamienną miną Yo-less.

- Coś mi się wydaje, że jest niemożliwe, by ktoś znany stąd pochodził. - Wobbler przestał mieć złudzenia. - A to dlatego, że tu wszyscy są psychiczni.

- Mam jednego! - ucieszył się Bigmac.

- Chorego?

- Piłkarza. Stanley "Błądzący" Roundway. Grał w drużynie Blackbury Wanderers. Tu jest nekrolog prawie na pół strony.

- Dobry był? Piłkarz, nie nekrolog.

- Pisz, że strzelił rekordową ilość bramek.

- Brzmi nieźle - ocenił Wobbler.

- Samobójczych.

- Co?!

- Największą ilość samobójczych bramek w całej historii sportu, niekoniecznie piłkarskiego. Piszą, że za bardzo się zapalał podczas gry i tracił poczucie kierunku. Piszą też, że poza tym był dobrym piłkarzem...

- No to piec - westchnął Wobbler. - A tak dobrze się zapowiadało.

- Spójrzcie na to - odezwał się Yo-less, toteż wszyscy skupili się koło jego czytnika. Na ekranie widać było stare zdjęcie około trzydziestu żołnierzy, wyszczerzonych prosto w obiektyw.

- No i...? - Wobbler pierwszy przerwał milczenie.

- To z 1916 roku - wyjaśnił Yo-less. - Przed wyjazdem na wojnę.

- Którą? - chciał wiedzieć Wobbler.

- Pierwszą, trąbolu. Pierwszą wojnę światową.

- Zawsze mnie zastanawiało, po co je numerują - odezwał się Bigmac. - Zupełnie jakby się spodziewali jeszcze paru.,

- Tu pisze, że to Blackbury Old Pals' Battalion tuż przed wyjazdem na front - przeczytał Yo-less. - Konkretnie to Kompania Miejska tego batalionu kumpli. Wszyscy się zaciągnęli tego samego dnia...

Johnny jak zauroczony wpatrywał się w zdjęcie wyglądające, jakby się znajdowało na dnie głębokiej, czarnej studni. Studni, w którą spadał. Odgłosy biblioteki stały się przytłumione, a zdjęcie grupy uśmiechniętych i po wojskowemu obciętych (czyli na jeża tępą brzytwą) młodzieńców stało się nagle środkiem świata. Wszyscy mieli, przez te fryzury, odstające uszy i wszyscy trzymali uniesione kciuki.

Te kciuki to była mania fotografów "Blackbury Guardian" przekazywana z pokolenia na pokolenie. Wszyscy na zdjęciach mieli uniesione kciuki. No, oprócz zwycięzców Super Bingo - ci byli w pozycji lotnej. Według fotografa miał to być zapewne radosny hołubiec, w praktyce jednak wyglądało to, jakby ktoś właśnie takiego biedaka kopnął w tyłek, a ktoś inny usunął mu spod nóg podłogę. Notabene etatowy fotograf znany był powszechnie jako Jeremy "Kciuk".

Większość widocznych na zdjęciu była w wieku Big- maca, jedynie sierżant z wąsem i oficer w bryczesach wyglądali na starszych. Pozostali mogliby z powodzeniem pozować do szkolnej fotografii...

Zdjęcie, jak nagle się zbliżyło, tak i nagle odjechało - Johnny wrócił do biblioteki, mrugając gwałtownie. Czuł się jak po nagłej zmianie ciśnienia, tyle że wata ustąpiła mu z mózgu, a nie z uszu.

- Wie ktoś, co to jest Somma? - spytał Yo-less.

- Nie. - Bigmac odpowiedział natychmiast i zdecydowanie.

- Tam ich wystali. To podobno rzeka gdzieś we Francji.

- Może któryś dostał medal - zaryzykował Johnny. - Albo został bohaterem. Jakby na cmentarzu leżał ktoś z większą liczbą medali, byłoby po kłopotcie.

Yo-less zajął się czytnikiem.

- Sprawdzę kolejne numery; jeśli któryś coś dostał, to na pewno o tym napisali... O, coś tu jest...

Pozostali spróbowali równocześnie zajrzeć mu przez ramię, co było fizycznie niewykonalne. Jedynie Johnny zdawał sobie sprawę, że to ważne, choć nie miał pojęcia dlaczego. Mimo to tak Wobbler, jak i Bigmac byli dziwnie cicho, gdy przeczytali to, co znalazł Yo-less.

- No - sapnął w końcu Wobbler. - Wszyscy zabici w tej jednej bitwie...

Johnny zajął się innym czytnikiem, wrócił do fotografii i spytał:

- Są podani alfabetycznie?

- Tak - odparł Yo-less.

- To uważaj: przeczytam nazwiska pod fotografią. K. Armitage,... T. Atkins...

- Tak... nie.

- Sierżant F. Atterbury...

- Tak.

- Ci są z Canal Street - wtrącił Wobbler. - Tam gdzie mieszka mój dziadek!

- Blazer... Constantine... Fraser... Frobisher... - Tak... tak... tak... tak...

W ten sposób dotarli do końca.

- Wszyscy zginęli cztery tygodnie po tym, jak zrobiono to zdjęcie - podsumował Johnny. - Wszyscy.

- Z wyjątkiem T. Atkinsa - poprawił go Yo-less. - Tu piszą, co to takiego, ten Pals' Battalion... ludzie z jednej okolicy mogli służyć razem, żeby im było różniej, mogli się zaciągnąć równocześnie, na przykład z jednej ulicy, i być w jednym plutonie, jeśli chcieli. Blackburny miało swój batalion, z tym że z naszego miasta wystarczyło na kompanię, reszta była z okolic. Ci na zdjęciu stanowili pluton dowodzenia...

- Straszne... - bąknął Bigmac. - I głupie...

- Wtedy pewnie wydawało się to komuś rozsądnym pomysłem. Poza tym fakt: w kupie różniej.

- Różniej... ale wszyscy w cztery tygodnie... - Bigmac upierał się przy swoim.

- Ciągłe powtarzasz, że nie możesz się doczekać, żeby iść do wojska - przypomniał Wobbler. - To ty żałowałeś, że wojna w Zatoce się skończyła. To pod twoim łóżkiem nie ma ani krztyny miejsca przez roczniki "Guns and Ammo". Zgadza się?

- No... wojna, tak... ale normalna, z M-16 i czołgami, a nie tak: z uśmiechem, i po czterech tygodniach wszyscy do piachu.

- Zaciągnęli się razem i zginęli razem, bo byli kolegami, stąd nazwa takich batalionów - wyjaśnił Yo-less.

- Poza T. Atkinsem - dodał Johnny, przypatrując się zdjęciu. - Ciekawe, co się z nim stało?

- To było w 1916 - przypomniał Yo-less. - Jak przeżył, to i tak już nie żyje.

- Masz któregoś w spisie? - spytał Wobbler.

Johnny sprawdził sumiennie.

- Nie - odparł po chwili. - Jest kilka takich nazwisk, ale nie te inicjały. Wszystkich tu chowali na jednym cmentarzu, to i nazwiska muszą się powtarzać.

- Może on się przeprowadził po wojnie - zastanowił się Yo-less.

- Fakt, że tu też byłby samotny - przyznał Bigmac.

- Mam dość! - Wobbler nagle odsunął krzesło i wstał. - To bez sensu: nikt specjalny tam nie leży. Wszystko zwykli ludzie, a ja mam dość tematów: cmentarz, nieboszczyk i śmierć. I dość tych podejrzliwych spojrzeń obsługi!

* * *

- Dowiedziałem się, co się dzieje z ciałami, gdy likwidują stary cmentarz - powiedział Yo-less, gdy wyszli na Tupperware na świeże powietrze - Od matki. Zabierają je do jakiejś przechowalni zwanej *necropolis*. To po łacinie "miasto zmarłych".

Wobbler głośno przełknął ślinę.

- To nie tam żyje Superman? - zainteresował się Bigmac.

- *Necropolis*! - zadudnił Wobbler. - W dzień uprzejmy nieboszczyk, w nocy... uaaa... zombi!

Johnny'emu stanęły przed oczami uśmiechnięte twarze w uniformach. Były trochę

starsze od Wobblera, ale tylko trochę.

- Wobbler - odezwał się poważnie. - Jak jeszcze raz zrobisz podobnie głupi dowcip...
- To co? - zainteresował się Wobbler.
- To ci po prostu przyłożę.

* * *

...szzzzz... nie, ty w ogóle wiesz, o czym ja gadam?... zzztwiup... powiedziałem władzom, że... wzuuuzt... fakt, że wieloryby lubią być ścigane, Bob, ale... bzzziiuut...

Klik.

- I to jest ten telegraf bez drutu? To tyle, jeśli chodzi o hrabinę Alice Radioni!
- Byłem w czasie wojny, tej z Niemcami... Co?! Jaka znowu hrabina Radioni?
- Której wojny z Niemcami?
- Proszę? A ile ich mieliśmy?
- Do tej pory dwie.
- Proszę nie przesadzać. Radioni? Co za Radioni, radio wynalazł Marconi!
- Tak?! A wie pan, komu on ukradł pomysł? - Kogo obchodzi, kto wynalazł to byle co?

Słuchamy, co wyprawiają żywi, czy nie?

- Knują, jak ukraść nasz cmentarz, oto co wyprawiają!

- Owszem, ale... chyba jeszcze nie jesteśmy ze wszystkim na bieżąco, prawda? Ta muzyka... i to, o czym mówię... Kto to taki "Siostra Szekspira", i dlaczego tu śpiewa? Co to jest "batman"? Powiedzieli, że poprzednim premierem była kobieta! Przecież to niemożliwe!! Kobiety nie mają prawa głosować, a co dopiero startować w wyborach.

- Właśnie że mają.
- Hura!
- Za moich czasów nie miały!
- Właśnie ktoś powiedział, że za mało wiemy...
- To dlaczego się nie dowiemy?

Zmarli zamilkli, i to bardziej niż zwykle. - Jak?

- Ten mężczyzna w radioodbiorniku mówił, że można dzwonić do niego, jeśli się chce

dyskutować o problemach, które nas dotyczą. To się nazywa "temat na telefon".

- Tak?

- Zaraz za murem jest budka telefoniczna. - Jest... ale to... na zewnątrz...

- Ale niedaleko. - Tak, ale...

- Ten chłopiec rozmawiał z nami, mimo że się bał. A my co? Ze strachu nie potrafimy przejść dwóch metrów?! - spytał nagle pan Vicenti, doświadczonym okiem starego ucieczkowicza spoglądając przez najbliższą wyrwę w ogrodzeniu.

- Ale nasze miejsce jest tutaj. Tu należymy. - Że leżymy, to prawda, acz jak widać, nie cały czas.

* * *

Tak naprawdę to nie było duże centrum handlowe ale za to jedyne. Johnny widział na filmach podobne centra w Stanach i doszedł do wniosku, że muszą tam być zupełnie, ale to zupełnie inni ludzie. Po pierwsze zawsze w takim miejscu było czysto, po drugie zawsze kręciło się tam mnóstwo ładnych dziewczyn, po trze cię ani razu nie widział tam babci-kamikadze, po czwarte nie było tłumów złożonych głównie z matek z przemysłową liczbą dzieci (średnio siedmioro), i wreszcie po piąte nie występowali tam kibice piłkarscy pijani w dym i maszerujący po dziesięciu (na szerokość) ze znaną sportową przyśpiewką "Ole, ole, ole ole". Przypominającą zresztą wycie.

W takich warunkach najbezpieczniejszym miejscem był bar. Yo-less, jak zwykle, zanim zamówił beef-burghera, sprawdził starannie na ulotce, że do produkcji nie użyto lasu tropikalnego, a Bigmac (też jak zwykle) zamówił największą możliwą porcję frytek z tuzinem rozmaitych sosów, od keczupu zaczynając.

- Ciekawe, czyja bym tu znalazł pracę? - zastanowił się Wobbler.

- Na pewno nie - odparł z przekonaniem Bigmac. - Jakby tylko szef na ciebie spojrzał, od razu by wiedział, gdzie się podzięją dochody firmy.

- Chcesz powiedzieć, że jestem gruby? - nastroszył się Wobbler.

- Grawitacyjnie zmieniony. - Yo-less nawet nie podniósł głowy.

- Powiększony - dodał Bigmac.

Wobbler chwilę trawił usłyszane rewelacje.

- To już wolę być gruby - zdecydował. - Johnny, mogę dokończyć twoje chrupki?

- Poza tym każdy by tu chciał pracować - powiedział Bigmac. - Potrzebne przynajmniej średnie wykształcenie z wysoką średnią.

- Żeby sprzedawać hamburgery?!

- Duża konkurencja - wyjaśnił mu rzeczowo Bigmac. - Zamykają wszystkie fabryki w okolicy. Nikt niczego nie produkuje, bo ludzie nie mają pracy.

- To kto robi to wszystko, czego pełne są sklepy?

- Chińczycy, Tajwańczycy, Koreańczycy... - zaczął Yo-less i zmienił temat. - Johnny, jesteś z nami duchem, czy tylko fizycznie?

- Co?!

- Od dłuższej chwili gapisz się intensywnie w szybę, więc wolałem się upewnić.

- Właśnie - dołączył się Wobbler. - Co się dzieje? Z cmentarza przyszli po porcje na wynos?

- Nie.

- To nad czym tak głęboko myślałeś?

- Nad kciukami. - Johnny tym razem wpatrzył się w ścianę.

- O czym?!

- Co: o czym? - spytał, budząc się ponownie.

- O jakich kciukach?

- Aa... o żadnych.

- Dobrze się czujesz?... Zresztą po co pytam, widać...

- Każdy ma prawo myśleć, Wobbler. Choć nie wszyscy z tego prawa korzystają - pouczył go Yo-less. - Podobno ostatniej nocy była dyskusja o sprzedaży cmentarza. Matka mówiła, że ludzie są źli, a pastor William twierdził, że każdy, kto tam cokolwiek zbuduje, będzie przeklęty do siódmego pokolenia.

- On zawsze tak twierdzi - zlekceważył Wobbler. - Zresztą wątpię, żeby to zmartwiło taką wielką firmę. W najgorszym razie mają wiceprezesa do spraw bycia przeklętymi. Pewnie się już przyzwyczaili.

- A on pewnie zleca wszystko sekretarce - dodał Bigmac.
- Wiem, że to nic nie zmieni - zgodził się Yo-less. - Jak skończą rozbiórkę fabryki, wezmą się za cmentarz.
- Czy ktokolwiek wie, czym się zajmuje ten cały United Acośtam? - spytał Wobbler.
- W gazetach pisało, że to międzynarodowa firma zajmująca się odtwarzaniem i poprawianiem informacji, cokolwiek to znaczy - przypomniał sobie Yo-less. - Mają też zapewnić trzysta miejsc pracy.
- Dla tych, co pracowali przy produkcji butów? - zdziwił się Bigmac.
- Nie wydurniaj się. - Yo-less wzruszył ramionami. - Johnny, co ci jest?
- Co?
- Pytam, co ci jest, bo gapisz się w tę ścianę, jakby tam było coś ciekawego.
- Co?... A, nic... Wszystko w porządku.
- Ci martwi żołnierze go wytrącili z równowagi - zaryzykował Wobbler.
- Johnny, to minęło. Szkoda, że zginęli, ale to historia. Nic na to nie poradzimy... i prawdę mówiąc, to ma niewiele wspólnego z teraźniejszością...

* * *

Pani Ivy Witherslade gawędziła z siostrą z budki na Cemetery Road, gdy ktoś zniecierpliwiony zastukał w szybę. Było to o tyle dziwne, że wokół nie było nikogo widać. Niemniej w budce zrobiło się nagle zimno i nieprzyjemnie, czym prędzej więc skończyła relację z wizyty u ortopedy i szybkim krokiem pomaszerowała do domu.

Gdyby Johnny był w budce (lub w jej bezpośrednim sąsiedztwie), słyszałby to, co nastąpiło później. Ponieważ go nie było, nikt z żyjących nie słyszał nic poza szumem wiatru, a już na pewno nie słyszał następującej wymiany zdań:

- Kto jak kto, ale pan, panie Fletcher, powinien wiedzieć. W końcu pan to wymyślił.
- Cóż... powiedzmy: usprawiłem.
- A więc rzeczywiście wymyślił to Aleksander Graham Bell?
- Istotnie, Alderman.
- No proszę! A myślałem, że sir Humphrey Telephone...

Słuchawka pozostała na widelkach, ale z wnętrza aparatu dobiegły trzaski i iskrzenie.

- Chyba opanowałem zasadę połączeń, pani Liberty...

- Ja będę mówił! Głos ludu musi być wysłuchany! Na wewnętrznych ściankach budki telefonicznej zaczął się osadzać szron.

- W żadnym wypadku. Pan jest bolszewikiem, drogi panie!

- To co w takim razie wynalazł sir Humphrey Telephone?

- Panie Fletcher, niech pan będzie tak dobry i zacznie tę elektryczną komunikację!

* * *

Niewiele jest miejsc, w których można pobyc. Właściwie tylko cztery: bar, J&J Software, fontanna i sklep z nagraniami zwany Groovy Sounds.

Z baru wyszli, bo nawet Wobbler nie był w stanie bez przerwy jeść.

Do J&J Software chwilowo mieli zakaz wstępu, ponieważ Wobbler przedwczoraj kolejny raz rozdał piracką wersję najnowszej gry komputerowej, co ponownie doprowadziło właściciela do furii.

Fontanna stała wśród marniejących drzew, toteż postanowili dać jej spokój.

Pozostał więc jedynie sklep muzyczny, równie atrakcyjny jak jego nazwa (Ciasne Dźwięki). Yo-less uparł się jednak, że uzupełni sobie kolekcję, co było jakąś motywacją.

- "Słynne brytyjskie orkiestry dęte" - przeczytał Wobbler, zaglądając mu przez ramię.

- Coś ci się stało ze słuchem? Czy z resztą głowy też?

- To całkiem dobra muzyka - obruszył się Yo-less. - Jest tu nawet "The Floral Dance" w wykonaniu orkiestry naszej fabryki butów.

- W zasadzie gdybyś nie był czarny, to bym na ciebie doniósł rastafarianom - stwierdził ze smutkiem Wobbler.

- Lubisz reggae i bluesa, prawda? Lubisz. Czy ja się ciebie za to czepiam?

- To co innego...

Johnny, z pewnym rozbawieniem przysłuchujący się tej wymianie poglądów muzycznych, nagle zamarł. Dobiegł go bowiem znajomy głos pani Sylvii Liberty płynący z

głośnika.

Radio stało na ladzie. Nastrojone było na lokalną stację Wonderful Radio, w której akurat szedł program Mike'a Mikesa, czyli dwie godziny muzyki, telefonów i informacji drogowych. Tym razem tematem audycji, a więc i telefonów, była propozycja rady, by przerobić stary Targ Rybny na coś tam. Wiadomo, że rada i tak postawi na swoim, ale przynajmniej ludzie mogą sobie popsioczyć.

- Powiedziałam "halo"! Tu Sylvia Liberty używająca elektrycznego telefonu! Halo?

... nie powinno być dozwolone, tak, panie, nie powinno...

...bzzzt... trzask... pstryk...

- Domagam się natychmiastowej reakcji! Targ Rybny jest całkowicie pozbawiony jakiegokolwiek znaczenia! ...ee... tego... i...

* * *

Mike Mikes, siedzący w studiu na szczycie budynku Towarzystwa Ubezpieczeniowego, popatrzył z napięciem na technika. Technik wpatrywał się z równym napięciem w centralkę telefoniczną. Nie miał żadnego sposobu odcięcia tej całej Liberty, bo jej głos szedł równocześnie wszystkimi łączami.

- Hmm... ona jest na wszystkich liniach telefonicznych - poinformował spikera, używając wewnętrznego obwodu łączności.

- Aha, wreszcie! Słuchaj, młody człowieku, i nie próbuj mnie odłączyć czy zagłuszyć tym swoim fonografem! Rozumie pan, że niewinni obywatele są represjonowani (pstryk... brrrt... wzuu... fzzzz) wieloletnia służba społeczeństwu (wziut... klik) jedynie dlatego, że przypadek urodzenia (whipwhipwhip... bzzzzz... trach) posłuchać młodego Johnny'ego (pstryk... fzzzz...). Wracamy... przestań w tej chwili, Williamie, jesteś niczym więcej, tylko bolszewickim agita...

Reszty zdania nikt nie usłyszał, ponieważ zdesperowany technik wyciągnął wszystkie możliwe wtyczki i wyrznął w centralkę młotkiem.

* * *

Johnny i pozostali oderwali się od radioodbiornika.

- Czasami dzwonią prawdziwi wariaci - w głosie Wobblera słyszeć było autentyczne uznanie. - Słuchaliście kiedy nocnego programu Szalonego Jima "Late Night Explosion"?

- On wcale nie jest szalony, tylko mówi, że jest - skrzywił się Yo-less. - Puszczają tylko stare kawałki i wrzeszczy "joj" i inne takie. To nie jest szaleństwo, tylko patetyzm.

- Co?

- No, jak ktoś jest patetyczny. Przecież mówię: patetyzm.

- Aha - to był Wobbler.

- Aha - to był Bigmac.

- Aha - to był Yo-less.

A to była cisza.

Wszyscy wyczekująco spoglądali na Johnny'ego.

- Hm... - zagaił Wobbler.

- Tego... - dołączył Bigmac.

- To byli oni, tak? - sprecyzował Yo-less.

- To byli oni - potwierdził Johnny.

- Tak mi się wydawało. To nie brzmiało jak normalne radio. Jak oni mogą korzystać z telefonu?

- Skąd mam wiedzieć? Niektórzy pewnie telefonowali za życia. Może jak się jest martwym, to coś takiego jak prąd albo ja nie wiem co...

- Prawie podali twoje nazwisko - zauważył Wobbler.

- Prawie.

- Komu tam wymyślali od bolszewików?

- Chyba Stickersowi, on jest trochę komunistą.

- Nie sądziłem, że zostali jeszcze jacyś komuniści - zdziwił się Yo-less.

- Bo nie zostali: on jest jednym z nich.

- Jeszcze wyjdzie, że za chwilę wejdzie tu Rod Serling z wielką księgą - odezwał się Bigmac. - Wiecie, tak jak w "Niesamowitych historiach".

- Skąd oni wiedzieli, co leci w radiu? - zastanowił się Yo-less.

- Pożyczyłem im tranzystor dziadka.

- Wiesz, co myślę? - stwierdził Yo-less. - Myślę, że coś zacząłeś!

- Też tak myślę.

- No nie, dajcie spokój! - Wobbler wyraźnie próbował oprzytomnieć. - Głosy w radiu?

Przecież to nic nie znaczy: dzieciaki się mogły bawić albo głupia baba zadzwoniła. Przecież duchy nie dzwonią do radia?!

- Widziałem taki film, w którym wychodziły z telefonu - dodał z wrodzonym taktem Bigmac.

- Zamknij się, dobrze? Nie wierzę ci! Za nic na świecie ci nie uwierzę!

Wewnątrz budki telefonicznej rzeczywiście było zimno.

- Muszę przyznać, że kiedy jest się martwym, to elektryczność faktycznie jest łatwa do opanowania.

- Co pan robi, panie Fletcher?

- Trenuję. Do kogo teraz dzwonimy?

- Do ratusza?

- Chciałbym zauważyć, pani Liberty, że jest sobota. Teraz w ratuszu może być tylko dozorca.

- To spróbujemy znaleźć młodego Johnny'ego. Nie bardzo rozumiem, o co mu chodziło z tymi znanymi osobami pochowanymi na naszym cmentarzu. My przecież tu jesteśmy!

- Spróbuję... to zadziwiająco proste do zrozumienia...

- A gdzie pan Stickers?

- Próbuje słuchać jakiegoś Radia Moskwa, cokolwiek to znaczy. Pewnie majstruje przy tym telegrafie bez drutu.

- Przyznaję, że jest to raczej ożywcze, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Nigdy dotąd nie byłem poza cmentarzem.

- Tak, to zdecydowanie nowa odmiana życia.

- Można uciec prawie od wszystkiego - dodał pan Vicenti.

Ktoś niegłośnie chrząknął. Wszyscy zmarli się obejrzel.

Zza ogrodzenia, przez dziurę przyglądał im się pan Grimm.

To ich od razu otrzeźwiło: w obecności pana Grimma zachowywali się poważniej.

- Jesteście na zewnątrz - powiedział pan Grimm. - Wiecie, że to niewłaściwe.

Rozległo się widmowe przestępowanie z nogi na nogę.

- Tylko kawałeczek, Eryku - zauważył Alderman. - To nikomu nie może zaszkodzić.

To dla dobra...

- To niewłaściwe!

- Nie musimy go słuchać - przypomniał pan Vicenti.

- Wpakujecie się w straszne kłopoty! - zawyrokował pan Grimm.

- Właśnie że nie! - sprzeciwił się pan Vicenti.

- To igranie ze Znanym. Wpadniecie w poważne tarapaty i to nie z mojej winy.

Jesteście źli!

Po czym pan Grimm odwrócił się i oddalił w kierunku własnego grobu.

- Proszę wybrać numer - powiedział, jakby nic się nie stało, pan Vicenti.

Pozostali jakby się ocknęli.

- Wiecie, on może mieć rację... - zaczęła pani Liberty.

- Zapomnijcie o nim - poradził pan Vicenti, rozkładając ręce. Z prawego rękawa wyfrunął duch białego gołębia i przysiadł na dachu budki. - Proszę wybrać ten numer, panie Fletcher - powtórzył.

* * *

- Halo, tu informacja. Jakie nazwisko pan wymienił?

- Johnny Maxwell z Blackbury.

- Obawiam się, że to niewystarczające informacje: bez adresu...

- To wszystko co wiemy... (Słuchajcie: wiem, jak to działa! Tu jest połączenie...) (Ilu nas tu w końcu jest?!) (Mogę też spróbować?) (To znacznie lepsze od seansu...)

Telefonistka potarła słuchawki - z jakiegoś powodu zrobiło jej się zimno w ucho.

- Auć! - nagłym ruchem zerwała słuchawki z głowy.

- Co ci się stało, Dawn? - Zrobiły się... poczułam...

Telefonistki spojrzały na centralę, rozświetloną nagle niczym choinka, a co gorsza - właśnie na ich oczach powoli pokrywającą się szronem.

Problem polegał zawsze na tym, że jak historia długa, zawsze znajdowali się ludzie nie mogący wynaleźć pewnych rzeczy z powodu niegotowości reszty świata. Na przykład Leonardo da Vinci nie mógł wynaleźć helikoptera jedynie z braku silnika i materiałów niezbędnych do budowy kadłuba, a - powiedzmy - sir George Cayley wynalazł silnik spalinowy, zanim ktokolwiek zdołał wynaleźć benzynę.* [przyp.: Jako paliwa używał ziaren prochu strzelniczego, wobec czego jego wynalazek można określić raczej jako silnik wybuchowy.]

Addison Vincent Fletcher spędził wiele godzin nad silnikami elektrycznymi, wielokrążkami, zaworami i drutami, próbując wynaleźć coś, co w jego czasach nawet nie miało jeszcze nazwy. Teraz (to jest po śmierci) ucieszył się jak dziecko, gdy zobaczył komputer. Co to jest i jak działa, nie musiał mu nikt tłumaczyć.

Rozdział piąty

Johnny wrócił do domu okrężną drogą - nie odważył się pojawić na cmentarzu.

Był sobotni wieczór, nic więc dziwnego, że wynikła sprawa Wizyty, o której, prawdę mówiąc, całkiem zapomniał.

- Powinieneś iść - przekonywała go matka, jak zwykle za pomocą tych samych argumentów. - Wiem, że lubi, jak przychodzisz.

- Nie lubi: całkiem zapomniała, kto ja jestem. Mówi mi Peter, a to przecież imię taty. A poza tym dlaczego nie przekonujesz dziadka, żeby choć raz się tam wybrał? To w końcu jego żona.

- Twierdzi, że chce ją pamiętać taką, jaka była. W dodatku w soboty w telewizji nadają jego ulubione programy rozrywkowe.

- To żaden argument.

- Nie będziemy tam długo...

- Okay. Pójdę.

* * *

Mniej więcej dziesięć minut po wyjściu Johnny'ego zadzwonił telefon. Dziadek jak zwykle wrzasnął: "Telefon!", nie spuszczając wzroku z telewizora, który od kilku lat stanowił sens jego życia. Ponieważ nikogo w domu nie było, nikt na wrzask nie zareagował i telefon dzwonił sobie dalej. W końcu, klnąc pod nosem, dziadek wstał i podszedł do aparatu. Nie zauważył, że pilot od telewizora zsunął się między poduszkę a boczną ścianę fotela, gdzie spędził najbliższe czterdzieści osiem godzin.

- Tak?... Nie ma go... Jak wyszedł, to go nie ma. Kto... niech mnie... Nigdy! Nadal robisz sztuczki? Coś cię ostatnio nie widywałem w mieście... Ano prawda, sam niewiele wychodzę. Jak się czujesz? Aha: zmarłeś, rozumiem. Ale wyszedłeś, żeby zadzwonić, ta nauka to teraz cuda robi. Słyszać cię, jakbyś był bardzo daleko... aha, jesteś bardzo daleko. Tak, pamiętam ten numer, który prawie ci się udał, ten z kajdankami i workiem. Tak... Tak...

Dobrze, powiem mu. To miło, że zadzwoniłeś. Powodzenia.

Dziadek odłożył słuchawkę, wrócił do pokoju i z powrotem zasiadł przed telewizorem.

Po kilku minutach nagle zmarszczył czoło, wstał i podejrzliwie obejrzał stojący w korytarzu telefon.

* * *

Słoneczne Akry nie były złym miejscem - było tam nawet czysto, a obsługa wydawała się w porządku. Na ścianach wisiały kolorowe obrazy, a w sali telewizyjnej stało duże akwarium z gupikami, welonami i innym pływającym drobiazgiem. Mimo to sprawiały bardziej ponure i przygnębiające wrażenie niż cmentarz.

Składało się na to wiele czynników, ale przede wszystkim sposób, w jaki wszyscy się tu poruszali - w ciszy i bez śladu pośpiechu - lub siedzieli przy stołach, czekając na kolejny posiłek, ponieważ nie mieli nic ważniejszego do roboty. Wyglądało to tak, jakby życie tutaj już się skończyło, śmierć jeszcze nie zaczęła, jedyne więc, co wszystkim pozostało, to czekać.

Babcia większość czasu spędzała przed telewizorem albo przed begoniami u siebie w pokoju. Przynajmniej jej ciało, bo gdzie przebywał jej umysł, tego nikt nie był pewien. Czasami był na miejscu, a czasami dryfował tak daleko, że śladu po nim nie było.

Jak zwykle rozmowa, a raczej przemowa matki do babci zaczęła wpędzać Johnn'ego w depresję. Była dokładnie taka sama jak tydzień temu, tydzień wcześniej i jeszcze tydzień przedtem. Zrobił więc to co zwykle, czyli wyszedł na korytarz i podszedł do drzwi prowadzących do ogrodu. Z braku konkretnego zajęcia zaczął się zastanawiać nad ostatnimi wydarzeniami.

W szkole nigdy o duchach nie mówili, a nie znał nikogo z podobnymi doświadczeniami (nawet ze słyszenia). Właściwie dlaczego to jemu przytrafiały się takie dziwne historie - naprawdę mu na tym nie zależało. Nie starał się, a jakoś tak wychodziło, że życie mu się z zasady bardziej komplikowało niż innym. Ciekawe, dlaczego tak się...

"T. Atkins."

Nazwisko uderzyło go po oczach niczym solidny młotek, choć tkwiło nieruchomo na kartce wsuniętej w przykręconą do drzwi ramkę. Do drzwi, obok których właśnie przechodził. Przez sekundę (albo dwie) zdawało się wypełniać cały świat.

Potem wróciło do normalnych rozmiarów.

Cóż, niejeden Atkins na tym świecie...

No, stając przed zamkniętymi drzwiami, na pewno się nie dowie, czy to ten T. Atkins, może więc zapukać...?

- Otwórz drzwi, słonko - czyjś głos skutecznie sprowadził go do rzeczywistości. - Mam obie ręce zajęte...

Za nim stała korpulentna Murzynka z naręczem bielizny pościelowej. Johnny bez słowa skinął głową i złapał za klamkę.

Pokój był mniej więcej pusty - na pewno w każdym razie nie było w nim nikogo.

- Widzę cię tu co tydzień, jak odwiedzasz babcię - poinformowała go pielęgniarka, rzucając pościel na rozebrane łóżko. - Dobry chłopiec z ciebie, że tak często przychodzisz.

- Ummm...

- A czego ty byś chciał?

- Myślałem, że porozmawiam z panem Atkinsem... - zaczął niepewnie i nagle go olśniło: - Robię do szkoły projekt o Blackbury Pals'.

Gdy ktoś robił (lub mówił, że robi) projekt do szkoły, mógł liczyć na bezkarność w związku z najgłupszymi pytaniami i wyjątkową swobodę.

- A kto oni byli, słonko?

- Grupa żołnierzy... Pan Atkins był jednym z nich. Gdzie mogę go znaleźć?

- On wczoraj zmarł, słonko. Miał dziewięćdziesiąt siedem lat. Znałeś go?

- Nie bardzo.

- Był tu długo. Miły staruszek, mawiał, że jak umrze, to wojna naprawdę się skończy, taki żart. Pokazywał nam swoją książeczkę wojskową i mówił, że Tom- my Atkins to właśnie on, i że jak go nie będzie, to to wszystko się skończy. Przeważnie się przy tym śmiał.

- O co mu chodziło?

- Pojęcia nie mam, słonko. Też się wtedy uśmiechałam, wiesz, jak to jest... -

Uśmiechnęła się i zabrała do ścielenia łóżka. Przy tej okazji wyciągnęła spod mebla kartonowe pudełko. - To jego rzeczy, myślę, że możesz je obejrzeć. Nikt go nigdy nie odwiedzał poza przedstawicielem British Legion, regularnie w każde Boże Narodzenie, niech ich Bóg błogosławi. Prosimi o jego odznaczenia, no ale skoro projekt, to możesz to obejrzeć.

I zajęła się resztą pokoju.

Johnny zaś zajął się pudełkiem.

W środku znajdowało się parę osobistych drobiazgów: fajka, puszka z tytoniem, spory scyzoryk, album z pobrązowiałymi zdjęciami kwiatów, zagonów ogórków i francuskich panienek w ubiorach kiedyś zapewne uważanych za bardzo śmiałe. Między kartki włożone były pożółkłe wycinki prasowe. Do tego było tam jeszcze małe drewniane pudełko z odznaczeniami starannie pozawijanymi w papier toaletowy. A na samym dnie leżała fotografia, taka sama jak w gazecie. Johnny ostrożnie ją wyjął i odwrócił. Dawno temu ktoś napisał fioletowym atramentem: "Starzy Kamraci!!! To my, kajzer, jakbyś był rozsądny, to już byś zwiewał."

A pod spodem trzydzieści podpisów.

Obok dwudziestu dziewięciu z nich ktoś ołówkiem narysował małe krzyże.

- Wszyscy się podpisali - mruknął Johnny.

- Co mówisz, słonko?

- Podziwiam zdjęcie.

- A tak. Pokazywał mi je kiedyś. To z wojny.

T. Atkins na fotografii wyglądał trochę jak Bigmac, tyle że Bigmac miał nieco mniej odstające uszy i zdecydowanie krótszą fryzurę (o fryzjerze lepiej się nie wypowiadać). No i Bigmac się tak sztucznie nie uśmiechał.

- Często o nich mówił - przypomniała sobie pielęgniarka. - W poniedziałek jest pogrzeb... Chciał, żeby go spalić. Zawsze któraś z nas idzie na pogrzeb... Tak się należy, prawda?

* * *

W nocy z soboty na niedzielę Johnny miał sny.

Najpierw śniło mu się, że Rod Serling idzie High Street w Blackbury, lecz w chwili, gdy ma zacząć mówić do kamery, nad ramionami wyrastają mu Bigmac, Yo-less i Wobbler z komentarzami w stylu: "O czym ta książka?", "Przewróć kartkę, bo już przeczytałem!", "Nie ciężko ci z tą knipą? Kupiłbyś sobie pocket-booka".

...

Potem śnił o kciukach.

...

W końcu się obudził i jak zwykle, pierwsze, co zobaczył, to prom kosmiczny, wiszący pod sufitem w ciągłym locie nurkowym, bo jeden zaczep się urwał. Co prawda stało się to ze dwa lata temu, ale ciągle były pilniejsze zajęcia.

Gdy wrócił z Wizyty, dziadek miał dla niego jakąś wiadomość. Informacja została tak przekazana, że wyszło coś w rodzaju: Wobbler (z tym że nie na pewno) dzwonił z jakąś dziwną wiadomością (której treść uległa zapomnieniu), być może na temat robienia sztuczek (albo innych kawałów). Naturalnie Johnny, czyli teoretyczny adresat, nie miał zielonego pojęcia, kto dzwonił i po co.

Stojący przy łóżku zegar z radiem (naprawiony!) wyświetlał 2:45. Nie ulegało wątpliwości, że w najbliższym czasie Johnny nie zaśnie. Rad nierad włączył więc radio ustawione na lokalną stację.

- Hejahejahejahej! Następnym rozmówcą waszego Szurniętego Wuja Jima w Kąciku Problemów jeeeeest...

Johnny zamarł. Coś mu mówiło, że wie, co teraz nastąpi.

- William Stickers, Szalony Jimie.

- Cześć, Bill. Tak brzmisz, jakbyś miał depresję.

- Gorzej, Jim: jestem martwy.

- To się dopiero nazywa być w dołku. Chcesz nam o tym opowiedzieć?

- To miło, że rozumiesz, towarzyszu, więc...

Johnny, naciągając dres, bynajmniej nie był zdumiony zrozumieniem ze strony Szalonego Jima, do którego po nocy ostatnio wydzwaniała na przykład kobieta przekonana, że jest rolką papieru toaletowego. I nie był to najcięższy przypadek ostatniego miesiąca.

Johnny wyłączył radio z budzikiem, włączył radio w walkmanie i założył buty. Ciągu dalszego słuchał już po drodze.

- ...a teraz słyszę, że w ogóle nawet nie ma Związku Sowieckiego. Co tu się porobiło?

- Coś mi się zdaje, że nie bardzo zwracałeś uwagę na to, co się wokół dzieje, Bill. Jasne, mówiłeś, że byłeś martwy. Ale teraz znowu jesteś żywy, tak? - głos Szalonego Jima był leciutko rozbawiony, jak zawsze, kiedy miał do czynienia z ciężkim przypadkiem i czuł, że reszta słuchaczy zaczyna go słuchać z większą uwagą.

- Nie. Wciąż jestem martwy...

Johnny wziął zakręt i pognął wzdłuż John Lennon Avenue.

- W takim razie powiedz nam, Bill, jak to jest być martwym?

- Jak? Nadzwyczaj nudno.

- Pewien jestem, że wszyscy chcieliby to wiedzieć: Bill, są tam anioły?

Johnny jęknął i skręcił w Eden Road.

- Jakie znowu anioły?! Nie ma żadnych aniołów!

Johnny wpadł na Woodville Road, bijąc własny rekord szybkości.

- No nie - jęknął Szalony Jim. - Mam nadzieję, że tych paskudów z widłami też nie ma?

- Człowieku, o czym ty bredzisz? Jesteśmy tylko my. stary Tom Bowler, Sylvia Liberty i cała reszta...

Johnny'emu spadły słuchawki w wyniku bezpośredniego spotkania z krzakiem laurowym, toteż umknął mu fragment rozmowy, zanim je ponownie nałożył. W tym czasie Szalony Jim poprosił Stickersa o wybranie piosenki.

- "Czerwony Sztandar", Bill? Kto to śpiewa? Chyba nie słyszałem.

- To "Międzynarodówka", nieuku! Pieśń uciskanych mas pracujących!

- Ni cholery mi się nie kojarzy. Ale dla ciebie i wszystkich zmarłych na świecie - sądząc z tonu Szalonego Jima, Stickers został odłączony od dostępu do anteny - a ponieważ w końcu wszyscy tak skończymy... oto coś ze skarbnicy Michaela Jacksona... "Thriller"!

W pobliżu budki telefonicznej świeciła się uliczna latarnia, toteż budkę i jej bezpośrednie sąsiedztwo widać było wyraźnie niczym oazę blasku w morzu ciemności.

Chyba że się było Johnnym...

Cała ulica pełna była zmarłych, którzy zdołali wyciągnąć ze sobą radio. W centrum powszechnej uwagi znajdował się Alderman.

- To powinno wyglądać mniej więcej tak... - zagaił, wykonując raczej nieudolną wersję Michaela Jacksona na oszronionej ulicy. - Johnny mi pokazał!

- Z pewnością to interesujący, synkopowany rytm - przyznała pani Liberty. - Tak, pan powiada?

Uduchowione owoce na jej duchowym kapeluszu zatańczyły wraz z właścicielką znacznie lepiej niż Alderman.

- Doskonale! A potem trzeba się obrócić z wyciągniętymi rękoma i zajęć. - Alderman zademonstrował.

Johnny pognął ku nim, a wizja procesu o naruszenie praw autorskich dodawała mu skrzydeł. Co prawda niby był nieletni, ale Jackson na pewno ma zdolnych prawników... Tańczyli tak sobie, ale osiemdziesięcioletnią (średnio) przerwę nadrabiali czystym entuzjazmem.

I w ten sposób zrodziła się impreza.

- Nie powinniście tego robić! - wysapał Johnny, hamując przed budką.

- A dlaczego? - spytali chórem bliżej tańczący.

- Bo jest środek nocy!

- I co z tego? My nie śpimy!

- Ręce opadają! A co by wasi potomkowie powiedzieli, jakby was teraz zobaczyli?

- Mieliby za swoje za to, że nas nie odwiedzali!

- Należy im się!

- I tak cały wieczór - skomentował siedzący spokojnie na chodniku pan Vicenti. Właściwie siedział dobre pół metra ponad chodnikiem, ale to szczegół techniczny. - Znaleźliśmy kilka bardzo interesujących stacji - dodał. - Co to konkretnie jest "DJ"?

- Disc jockey - odparł Johnny i zrezygnowany usiadł obok. - To ten, co puszcza piosenki i gada w przerwach.

- To jakaś odmiana kary?

- Gdzież tam! Całkiem sporo ludzi lubi to robić. - Przedziwne... Oni przypadkiem nie są psychicznie chorzy albo umysłowo ociężali?

Jackson skończył, a tancerze znieruchomieli, ale powoli i niechętnie. Pani Liberty odsunęła na właściwe miejsce kapelusz, który zsunął jej się na oczy.

- To nadzwyczaj rozrywkowe - oznajmiła. - Panie Fletcher, niech pan będzie tak miły i poinstruuje tego jegomościa od telegrafu bez drutu, żeby zagrał coś jeszcze.

Johnny, mimo wszystko zaciekawiony, o co też może chodzić, podszedł do budki. W środku pan Fletcher stał przed aparatem telefonicznym z rękami do połowy zanurzonymi w obudowie. Jego poczynania obserwowali: pan William Stickers, wyglądający na nieszczęśliwego, i starszy mężczyzna z burzą siwych włosów przypominających fryzurę szalonego naukowca z pierwszego lepszego serialu.

- A, to ty - powitał Johnny'ego Stickers. - I ty to nazywasz światem?

- Ja tego w ogóle nie nazywam: samo się nazwało.

- Ten człowiek w radiu stroił sobie ze mnie żarty, prawda?

- Nie sądzę...

- Pan Stickers jezd zdenerwowany, bo zadzwonił do Moskwy - odezwał się właściciel siwej szopy na głowie. - Tam mu powiedzieli, że rewolucji jak na razie mają dożyć, ale przydałoby im się mydło.

- To brudni kapitaliści! - wybuchnął Stickers. - Nic więcej!

- Ale przynajmniej chcą być czystymi kapitalistami, a to już jakiś postęp - zwrócił mu uwagę pan Fletcher. - Gdzie próbujemy teraz?

- Teoretycznie to płatny telefon - zauważył Johnny.

Pan Fletcher parsknął śmiechem.

- Chyba że nie zpotkaliśmy - odezwał się siwowłosy wyciągając raczej przezroczystą dłoń. - Solomon Einstein, 1869- 1932.

- A... Albert Einstein? - wykrztusił Johnny.

- Mój daleki kuzyn. Relatywnie rzecz ujmując, hi, hi.

Johnny odniósł wrażenie, że pan Einstein wygłaszał ten tekst już wielokrotnie i wciąż był z niego zadowolony.

- Do kogo dzwonicie?

- Dopiero zaczynamy się orientować w świecie - przyznał pan Fletcher. - Co to tak lata w kółko po niebie?

- Pojęcia nie mam. Latające talerze?

- Pan Vicenti przypomina sobie, że coś o nich słyszał przed zgonem. Latają dookoła świata. W kółko.

- Aaa... satelity! - ucieszył się Johnny.

- Właśnie! - Pan Fletcher ucieszył się jeszcze bardziej.

- A po co panu satelity, panie Fletcher?

- Bo one znacznie ułatwiają życie. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale wszystko jest teraz znacznie prostsze. Widzę wszystkie połączenia... przewody i satelity... jak się nie ma ciała, to o wiele łatwiej ich używać.

- Na przykład nie przebywać w jednym miejscu.

- Myślałem, że...

Pan Fletcher nagle zniknął, Johnny więc umilkł zaskoczony. Rozmówca pojawił się parę sekund później.

- Zadziwiające - przyznał z podziwem. - Daję słowo, zabawa będzie przednia...

- Chyba ciągle nie róžu...

- Johnny? - to był pan Vicenti.

Do Szalonego Jima zdołali się dodzwonić żywi, toteż leciała dłuższa seria utworów country and western, przy której zmarli bawili się w najlepsze, tańcząc po całej ulicy.

- Co tu się wyprawia?! - jęknął Johnny. - Przecież sami mówiliście, że nie możecie opuszczać cmentarza?

- Nie wyjaśnili ci tego w szkole? Czego was dzisiaj uczą w takim razie?

- Na pewno nie obcowania z duch... uhmm, ze zmarłymi, chciałem powiedzieć.

- Nie jesteśmy duchami... duchy to bardzo smętne stworzenia... Naprawdę trudno takie rzeczy wytłumaczyć żywemu. Wiem, co mówię, bo kiedyś byłem żywy. - Pan Vicenti zerknął na nic nie rozumiejącego Johnny'ego i westchnął. - My jesteśmy... czymś innym niż duchy. To, że nas widzisz i słyszysz, sprawia, że stajemy się wolni; dajesz nam coś, czego

nie mieliśmy.

- To znaczy co?

- Nie potrafię ci tego lepiej wyjaśnić... wtedy, gdy o nas myślisz, jesteśmy wolni.

- I nic więcej nie muszę robić?

- Nie musisz. Martwi cię to?

- Mnie nie, ale Wobbler na przykład uważa, że to okultyzm - mówiąc to, Johnny się zorientował, że brzmi to trochę głupio. Pan Vicenti ubrany był w śnieżnobiałą koszulę i smoking z nieodłącznym, świeżym goździkiem. Na nawiedzonego okultystę albo innego zombi zdecydowanie nie wyglądał. A pani Liberty jeszcze mniej, nie wspominając już o Winiarnie Stickersie, który byłby Karolem Marksem, gdyby Marks nie był szybszy.

- Mam nadzieję, że nie parasz się okultyzmem - zauważył z troską pan Vicenti. - Ojciec Kearny (1891-1949) nie pochwalałby tego.

- Kto to jest ojciec Kearny? - spytał ostrożnie Johnny. - A tańczył przed chwilą z panią Liberty... O, zdaje się, że trochę skomplikowałem wyjaśnienia...

- Odeślij go!

Johnny odwrócił się. Jeden ze zmarłych wciąż przebywał na terenie cmentarza. Stał przy samym płocie i oburącz trzymał się ozdobnej barierki niczym skazaniec kraty. Wyglądał podobnie jak pozostali, z tą różnicą, że miał okulary. Aż dziw brał, że jeszcze się nie roztopiły, z taką intensywnością się przez nie wpatrywał. Obiektem jego zainteresowania było mniej więcej lewe ucho Johnny'ego.

- Kto to? - spytał na wszelki wypadek Johnny.

- Pan Grimm. - Pan Vicenti nawet się nie odwrócił.

- Aha. O nim nic nie znalazłem w gazetach.

- To mnie ani trochę nie dziwi. Były wtedy rzeczy, o których się nie pisało.

- Odejdź, chłopcze, i nie wtrącaj się w sprawy, których nie rozumiesz - oznajmił z mocą pan Grimm. - Narażasz swoją nieśmiertelną duszę. Ich dusze zresztą także. Odejdź, jesteś zły!

Johnny przyjrzał mu się podejrzliwie, po czym przeniósł spojrzenie na rozbawioną ulicę, skupionych przy budce telefonicznej eksperymentatorów i Stanleya Roundwaya w

piłkarskim stroju, demonstrującego grupie zapaleńców, na czym polega gra w piłkę nożną. Na butach widniały czerwone litery: na prawym R, na lewym L. Pan Vicente wpatrywał się nieruchomo przed siebie.

- Hmm, no...

- W tej kwestii nie mogę ci pomóc, Johnny. Z tym sam musisz dojść do ładu.

* * *

Zaraz potem Johnny musiał wrócić do domu. Powrotu nie pamiętał, co prawda, ale obudził się rano we własnym łóżku.

* * *

Johnny zastanawiał się, co też zmarli porabiają w niedzielne ranki. Wtedy bowiem Blackbury mijało, i to zdecydowanie, barierę śmiertelnej nudy. I zostawało za tą barierą do poniedziałku.

Większość mieszkańców robiła to, co ludzie tradycyjnie robią w niedzielę: ubierano się odświętnie i udawano do kościoła (pieszo albo samochodem, w zależności od stopnia zamożności). Rodzaj wyznania zależał od indywidualnych preferencji i przekonań. Potem pakowano się w samochody i gremialnie udawano na rodzinną adorację Centrum Ogrodniczego (Obniżka!!) leżącego tuż poza granicami miasta. W drodze powrotnej towarzyszył mieszkańcom przypływ rozmaitych roślin doniczkowych, przez kolejne sześć dni uśmiercanych przez centralne ogrzewanie, zapomnienie i niedobór wody. Po tygodniu miejsca były już zwolnione i rytuał powtarzał się bez żadnych zmian.

Co gorsza, sklepy i bary w mieście były zamknięte, tak że normalni, choć niepełnoletni jeszcze ludzie nie mieli za bardzo gdzie się podziać, jeśli nie chcieli naturalnie siedzieć w domu.

Robili, co mogli, czyli po prostu pałętali się po ulicach.

- Cały problem ze zmarłymi w tym mieście bierze się stąd, że trudno im po śmierci zauważyć jakąś różnicę w trybie życia - ocenił Wobbler.

- Słuchał ktoś radia w nocy? - spytał ostrożnie Johnny.

Okazało się, że nikt, więc mu trochę ulżyło.

- Gdy w końcu dorosnę, to tak będę stąd zmiatał, że kamienie z bruku powyrywam odrzutem - obiecał Wobbler. - To jest miejsce, z którego można pochodzić, ale na pewno nie można w nim żyć.

- A gdzie można? - zainteresował się Johnny. - Ostatnio, zdaje się, ideałem była Krzemowa Dolina?

- Świat jest wielki! Jest mnóstwo ciekawych miejsc: góry, Australia, Ameryka... Krzemowa Dolina też - entuzjazmował się Wobbler.

- Wczoraj mówiłeś, że pewnie będziesz pracował u wuja w handlu nieruchomościami - zauważył Big- mac.

- No... hmm... te wszystkie miejsca nigdzie sobie nie pójda, nie? Jak będę miał czas, to tam pojadę.

- Podobno dla geniusza komputerowego to nie takie trudne - odezwał się Yo-less. - Podobno masz nim zostać.

- Jak będę chciał!

- A ja myślałem, że jak jakimś cudem zdasz z matmy i z anglika...

- Jestem praktycznie uzdolniony! - obruszył się Wobbler.

- Co, nauczyłeś się lutować? - zdumiał się Bigmac.

- On ma na myśli, że umie dusić na klawisze tak długo, aż coś się stanie - wyjaśnił Johnny.

- Najczęściej się staje, może nie?

- Tak, często wymieniasz klawiaturę - odparł Yo-less poważnie.

- Ja tam idę do wojska. - Uwaga Bigmaca ukreśliła łeb rodzącej się gwałtownie wymianie poglądów. - Do SAS.

- Pewnie, platfus i astma zapewnią ci tam miejsce bez egzaminu ze sprawności fizycznej - parsknął Wobbler. - Nowa forma psychicznego wykończenia terrorystów: atak kulejących i dychawicznych Sił Specjalnych!

- Ja tam chcę najpierw skończyć prawo, a potem medycynę - wyznał skromnie Yo-less.

- Ty masz łeb: w ten sposób nikt cię nie zaskarży, jak wytniesz mu nie to, co miałeś
- przyznał ze szczerym podziwem Bigmac.

Yo-less tylko westchnął z rezygnacją.

- A ty? Co ty będziesz robił? - zainteresował się Wobbler.

- Nie wiem - odparł szczerze Johnny.

- Nie zastanawiałeś się? - zdziwił się Wobbler. - Cały zeszły tydzień maglowali to na lekcjach!

Johnny skinął głową. To prawda - wszędzie były Wspanialsze Perspektywy: w handlu (hurtowym i detalicznym), w nieruchomościach, w marketingu też. Nawet w wojsku, choć chyba nie dla Bigmaca, bo gdy ostatni raz trzymał w ręku karabin maszynowy, spuścił go sobie na nogę tak zgrabnie, że mu paznokcie zszedł. Był to zresztą pierwszy raz, kiedy Bigmac trzymał w ręku jakiś karabin.

Dla siebie jednak Johnny nie widział żadnych perspektyw, nie wspominając już o wspaniałych.

- Tego, kim chciałbym być, to jeszcze nawet nie nazwali - poinformował Wobblera.

- Aha, czyli jak za dwa lata ktoś wymyśli Vurglesplat i będą szukali specjalistów, to będziesz pierwszy w kolejce? - upewnił się tenże.

Tymczasem dotarli na cmentarz, toteż pozostała trójka stłoczyła się ciasno, wbrew prawom fizyki zajmując mniej miejsca razem niż każdy z nich osobno. A zmarłych w pobliżu wcale nie było.

- Ach, byłbym zapomniał - odezwał się Yo-less. - Matka kazała zapytać, czybyście wieczorem nie przyszli do kościoła.

- Co tydzień każe ci się zapytać - mruknął zniechęcony Wobbler. - Mógłbyś się już nauczyć odpowiadać i nam tyłka nie zawracać.

- Ona mówi, że to dla waszego dobra. Zwłaszcza Si- mona.

- Kogo? - zdumiał się Wobbler.

- Mnie - przypomniał Bigmac bez entuzjazmu.

- Ona mówi, że ty wymagasz opieki - poinformował go sumiennie Yo-less.

- Nie wiedziałem, że masz na imię Simon - przyznał Wobbler.

Bigmac westchnął. Na koszulce miał nadruk "Skins z Blackburny", włosy tak krótko ścięte, że prawie ich nie było, spadochroniarskie buty i tatuaż na kostkach obu dłoni. Na jednej pisało LOVE, na drugiej HAT* [przyp.: Bo E odpadło.], a mimo to rodzicielka Yo-lessa uważała, że potrzebuje opieki i normalnego domu. Do niedawna Bigmac żył w ciągłym stresie, że dowiedzą się o tym Bazza albo Skazz, czyli pozostali skini w mieście.

- Ona mówi, że robią się z was bezbożnicy - dodał Yo-less.

- Możesz jej powiedzieć, że idę jutro na pogrzeb. Jak musisz - poinstruował go Johnny. - To prawie kościół.

- Ktoś ważny? - zainteresował się Wobbler.

- Jeszcze nie wiem.

* * *

W pierwszej chwili Johnny był zaskoczony, że tak dużo ludzi przyszło pożegnać T. Atkina, ale okazało się, że frekwencja związana jest z poprzednim pogrzebem. Koniec końców został sam z pielęgniarką i starszym jegomościem o sztywnej prezencji i ze znaczkiem British Legion w klapie. No i naturalnie znajdował się tam też T. Atkins we własnej osobie. Kapłan robił, co mógł, ale ponieważ nigdy nie spotkał Tommy'ego Atkina, jego mowa żałobna składała się z frazesów i Rzeczy, Które Należy Powiedzieć. Mowa była krótka, potem zabrzmiały organy (z taśmy). No i uroczystość dobiegła końca.

Pozostała trójka spoglądała na Johnny'ego, jakby był nie na miejscu, tylko nie bardzo było wiadomo, jak mu to powiedzieć. A jeszcze mniej, jak uzasadnić.

Gdy nagranie się skończyło, w kaplicy zrobiło się dziwnie chłodno. Johnny odwrócił się - ławki przy wejściu wypełniali zmarli. Alderman zdjął kapelusz i siedział, jakby kij połknął. Nawet William Stickers starał się wyglądać szacownie. Jedynie fryzura Solo-mona Einsteina wyglądała, jakby w nią trafił piorun kulisty (czyli jak zwykle).

Pielęgniarka szeptem przeprowadzała naradę z przedstawicielem British Legion, toteż Johnny pochylił się w stronę pana Fletchera i, także szeptem, spytał:

- Dlaczego tu jesteście?

- Zwykliśmy bywać na każdym pogrzebie, żeby pomóc nowym się przystosować,

powitać ich... no, pomóc. To zawsze jest szok.

- Aha.

- A dzisiaj, gdy zobaczyliśmy, że przyszedłeś, postanowiliśmy spróbować wszyscy...

Pan Vicente powiedział, że warto. W każdym razie coraz lepiej nam to idzie!

Pielęgniarka skończyła naradę, przekazała wojskowemu pudełko z ziemskim majątkiem T. Atkinsa i wyszła. Mijając Johnny'ego, machnęła ręką niepewnie. Kapłan i mężczyzna z British Legion wyszli innymi drzwiami, Johnny zaś skierował się ku głównemu wyjściu.

Październikowe słońce świeciło anemicznie, ale zawsze. Johnny siadł na pobliskiej ławce i czekał.

W końcu przedstawiciel British Legion wyszedł, trzymając dwa pudełka.

Johnny wstał.

- Tak, chłopcze? Wiem od pielęgniarki, że zajmujesz się projektem szkolnym.

To naprawdę działało niczym magiczne zaklęcie - gdyby Saddam Husajn wpadł na pomysł i ogłosił, że robi projekt związany z Kuwejtem, miałby znacznie prostsze życie...

- Tak. Mogę pana popytać?

- Oczywiście. - Mężczyzna siadł na ławce, wyciągając sztywniejszą nogę i starannie układając obok siebie oba opakowania.

Johnny ze zdumieniem stwierdził, że jest w wieku dziadka, ale o czerstwej, opalonej twarzy kogoś, kto od dawna dba o siebie i kto ma na czole wypisane "oficer".

- No tak... Atkins mawiał, że jest "tym" Atkinsem - zaczął Johnny. - Wiem o Blackbury Pals' Battalion, wiem, że tylko on przeżył, ale nie mam pojęcia, o co mogło mu chodzić w tej sprawie...

- Wiesz o kompanii, powiadasz. Skąd?

- Czytałem w starych gazetach w bibliotece.

- A o Tommym Atkinsie nie wiesz.

- No, coś tam o nim wiem...

- Nie. Mam na myśli nie osobę, lecz nazwisko. Dlaczego Thomas był taki dumny ze swego nazwiska? Co to nazwisko znaczyło?

- Prawdę mówiąc, nie rozumiem, o czym pan mówi.

- Czego dzisiaj w tych szkołach uczą!

Johnny nie odpowiedział, uznając (i słusznie), że to nie było pytanie.

- Widzisz... w czasie wielkiej wojny, pierwszej wojny światowej, jak ją potem nazwano, kiedy nowy rekrut zgłaszał się do wojska, dostawał do wypełnienia książeczkę wojskową, chyba że nie umiał pisać; wtedy wypełniano ją za niego. Żeby pomóc w jej wypisaniu, wojsko zrobiło coś w rodzaju wzorca, i tam, gdzie należało wpisać nazwisko i imię, dla ułatwienia wypisano "Thomas Atkins". Mogło to być zupełnie inne nazwisko, na przykład John Smith, ale wybrano Tommy'ego Atkinsa i to się przyjęło jako żart. Tommy Atkins stał się synonimem zwykłego szeregowca. Jego zdrobnienie: Tommy albo British Tommy stało się określeniem popularnym na całym świecie.

- Czyli... w pewnym sensie wszyscy żołnierze byli Tommym Atkinsem?

- Można tak powiedzieć, choć, to nieco naciągane... - Ale on był autentyczny. Palił fajkę i tak dalej...

- Wojsko użyło akurat tego nazwiska ze względu na jego popularność, toteż i Tommy Atkins musiał się trafić. Wiem, że był z tego bardzo dumny. Mówił mi o tym wielokrotnie.

- Czy on był ostatnim walczącym w tej wojnie?

- Dobry Boże, nie! Natomiast na pewno ostatnim żyjącym w tej okolicy... ostatnim ze swego oddziału... Był trochę dziwny, ale cóż...

Coś się zmieniło w powietrzu. Jakby ktoś wziął garść ciszy, rozciągnął ją i trącił niczym strunę gitary. Johnny rozejrzał się nieco nerwowo.

Na ławce siedzieli we trzech.

Tommy Atkins był w mundurze. Trochę luźnym i nieco wypłowiałym, ale zawsze. A na kolanach trzymał przepisowy szeroki kapelusz. Wciąż był stary, jego szyja wystawała z kołnierzyka mniej więcej tak jak u żółwia, ale dostrzegł Johnny'ego. Mrugnął do niego porozumiewawczo i na powrót wpatrzył się w ulicę prowadzącą do parkingu.

Za plecami Johnny'ego zmarli cicho opuścili kaplicę: starsi przez ściany, młodszy - pchani siłą przyzwyczajenia - przez drzwi, po czym stanęli, także wpatrując się w głąb ulicy.

A tam, maszerując przez samochody i parking, zbliżał się Blackbury Pals' Battalion.

Rozdział szósty

Oddział w defiladowym szyku wykonał przepisowe "w prawo zwrot" i równiutko trzymając krok, maszerował dalej.

Zaskoczony ich młodym wyglądem Johnny spojrzał na Atkinsa - ten też wyglądał jak na słynnej fotografii. Rześko wstał, nałożył kapelusz mundurowy i pomaszerował w stronę ulicy. Przy krawężniku odwrócił się i zasalutował - zmarłym i Johnny'emu.

A potem, gdy oddział go mijał, zajął zgrabnie miejsce w szeregu i pomaszerował wraz z nimi. Wydawało się, że nie maszerują szybko, ale po paru sekundach nie pozostał po nich nawet ślad ducha.

- Wraca do Francji - powiedział niespodziewanie dla samego siebie Johnny.

Weteran mówiący coś cały czas zamilkł nagle.

- Co mówiłeś, chłopcze? - spytał po chwili.

- Tommy Atkins. Wraca do Francji.

- Skąd wiesz?

Dopiero w tym momencie Johnny zrozumiał, że mówi na głos.

- No...

- Chyba pielęgniarka ci powiedziała - uśmiechnął się przedstawiciel British Legion. - Tak polecił w testamencie... Chcesz chusteczkę?

- Co?... a, nie, mam własną. - Johnny otarł mokre nie wiedzieć czemu oczy i dodał:
- Mówiła o tym.

- Zawozimy go w tym tygodniu. Zostawił mapę z dokładnymi instrukcjami. - Wojskowy poklepał pudełko zawierające prochy T. Atkinsa. - Chciał, by rozrzuciono jego prochy bez żadnej ceremonii...

- Tam... gdzie zginęli pozostali? - Właśnie. Cały czas ich wspominał...

- Przepraszam...

- Tak?

- Jestem John Maxwell, czy mógłbym poznać pańskie nazwisko?

Zapytany wyprostował się i podał mu dłoń.

- Ronald Atterbury.

Uścisnęli sobie prawice.

- Jesteś wnukiem Artura Maxwella? - spytał mężczyzna. - Pracował w fabryce butów.

Tam się poznaliśmy...

- Mam pytanie... - Johnny z góry znał odpowiedź, ale by ją usłyszeć, musiał wpierw zapytać. - Czy jest pan krewnym sierżanta Atterbury? Z tego batalionu...

- Był moim ojcem.

- Aha.

- Nigdy go nie widziałem. Ożenił się z moją matką krótko przed wyruszeniem na front. Wtedy takie rzeczy były normalne. Nigdy nie wrócił... Przepraszam, że pytam, ale czy ty przypadkiem nie powinienesz być w szkole, młodzieńcze?

- Nie.

- Doprawdy?

- Powinienem być tutaj, jestem tego absolutnie pewien - oświadczył stanowczo Johnny. - A do szkoły i tak muszę wkrótce iść. Dziękuję za rozmowę.

- Mam nadzieję, że nie straciłeś żadnej ważnej lekcji.

- Historię.

- To ważny przedmiot.

- Mogę jeszcze o coś spytać?

- Naturalnie.

- Odznaczenia Tomm'ego Atkinsa... były za coś specjalnego?

- To medale za kampanie. Żołnierze dostają je za to, że wzięli w nich udział i przeżyli.

On przeszedł cały szlak tej wojny, do samego końca. I nawet nie został draśnięty.

Johnny bez słowa ruszył ku bramie. Był świadkiem czegoś ważnego i to jako jedyny żyjący. Coś się tu odbyło i to właściwie. Tego był pewny.

Odwrócił się, gdy doszedł do ulicy - pan Atterbury wciąż siedział na ławce, wpatrując się w drzewa, jakby ich nigdy wcześniej nie widział. Jakby przez nie mógł widzieć całą drogę do Francji.

Johnny zawahał się, a potem zawrócił.

- Nie! - rozległo się tuż za nim.

Rad nie rad odwrócił się więc ponownie.

Na przystanku autobusowym, pod wiatą, siedział pan Vicente. Wyglądał tak, jakby nawiedził ten przystanek.

- Chciałem tylko...

- Wiem. I co byś mu powiedział? Że ich widziałeś? To by niczego nie zmieniło. Może on też ich widział... albo tak mu się zdawało.

- No cóż...

- To się nie uda.

- A gdybym...

- Gdybyś zrobił coś takiego kilkaset lat temu, oddano by cię katu albo spalono za czary. Gdybyś zrobił to sto lat temu, zamknięto by cię w szpitalu dla umysłowo chorych. Co robią teraz, nie wiem, ale wiem, że nie będzie to miłe.

Johnny odprężył się - ochota na wprowadzenie zamiaru w czyn przeszła mu jak ręką odjął.

- Pewnie pokazaliby mnie w telewizji - ocenił, ruszając w dalszą drogę.

- To nie byłoby wskazane. - Pan Vicente też ruszył, tyle że jego stopy nie przy każdym kroku dotykały chodnika.

- Chodzi o to, że jeśli mogę spowodować, by ludzie zobaczyli...

- Może - przerwał mu pan Vicente - ale wytłumaczenie czegoś ludziom to ciężka i długa praca przeważnie kończąca się fiaskiem... o, przepraszam... - Szarpnął gwałtownie ramieniem, jakby go coś ugryzło, i wyciągnął spod fraka parę gołębi. - Jestem pewien, że one gdzieś tam się lęgną - mruknął, obserwując, jak odlatują i znikają. - Co zamierzasz teraz?

- Dojść do szkoły. I proszę nie mówić, że to ważne!

- Przecież nic nie mówię.

Dotarli do głównej bramy cmentarza.

- Pojutrze zaczną nas rozbierać - powiedział cicho pan Vicente.

- Przykro mi... jak mówiłem, chciałbym coś zrobić, ale...

- Być może już to zrobiłeś.

Johnny westchnął.

- Jak zapytam, co pan ma na myśli, to usłyszę, że to dość trudno wytłumaczyć, tak?

- Tak sędzę. Chodź, to ci się może spodobać.

Na cmentarzu nie było żywego ducha, martwego zresztą też. Nawet wrona sobie poleciała (o ile to nie był kruk).

Natomiast od strony kanału dobiegały odgłosy radosnej wrzawy.

* * *

Zmarli pływali. Nie wszyscy, ma się rozumieć. Najbardziej pływała pani Liberty, w kostiumie sięgającym od szyi do kolan i, ma się rozumieć, w kapeluszu.

Alderman siedział na brzegu w podkoszulku i szelkach, na których bez problemu można by zacumować motorówkę. Johnny przez chwilę zastanawiał się, jak oni się przebierają i czy odczuwają zmiany temperatury, ale doszedł do wniosku, że to wszystko pewnie jest kwestią przyzwyczajenia. Jak się pomyśli, w co się jest ubranym, to się w tym... jest.

Naturalnie, gdy nurkowali, nie było żadnego plusku czy rozbryzgu, było natomiast drobne migotanie, jakby ktoś wrzucił drobny kamyk, od którego na powierzchni tworzyły się niewielkie koła. No i gdy się wynurzali, nie byli mokrzy. Wychodziło na to, że kiedy ciało astralne (czyli duch) wskakiwało do wody, w efekcie nie duch stawał się mokry, tylko woda przesiąknięta duchem.

Nieopodał pan Fletcher, Solomon Einstein i kilku innych skupili się wokół wraku odbiornika telewizyjnego leżącego na brzegu.

- Co oni robią? - zainteresował się Johnny.

- Próbują go uruchomić - poinformował go pan Vicenti.

Tego było już za wiele i Johnny parsknął śmiechem. Z kineskopu zostało wspomnienie, a w drewnianej obudowie oprócz garści zardzewiałych części znajdowała się jedynie zielona trawa.

- Przecież to niemożli... - zaczął i urwał.

W telewizorze coś pstryknęło, zatrzeszczało i na ekranie, którego nie było, ukazał się obraz. Jasny, ostry, bez zakłóceń i w doskonałych kolorach.

Pan Fletcher wstał i uroczyście uścisnął dłoń Solomona Einsteina.

- Kolejny udany mariaż zaawansowanej teorii z wiedzą praktyczną - oznajmił.

- Krok we władziwą stronę - uznał właściciel siwego afro.

Johnny'ego nagle olśniło.

- To duch telewizora?

- Sprytny młodzian - pochwalił Solomon Einstein.

Johnny ostrożnie zajrzał do obudowy: oprócz zardzewiałych elementów i trawy było tam jeszcze sporo mokrych liści. Nad tym wszystkim jednak unosił się perłowy zarys kompletnego telewizora, a raczej jego wnętrza, radośnie pomrukujący i działający bez prądu. To znaczy na pierwszy rzut oka bez prądu, bo właściwie kto normalny wie, gdzie się podziewa prąd, gdy zgasi się światło.

Wstał, będąc pod wrażeniem osiągnięć duetu teoretyk-praktyk, i wskazał na zielonkawą powierzchnię kanału, o konsystencji zdecydowanie gęstszej niż woda.

- Gdzieś tam leży stary ford capri. Wobbler twierdzi, że widział, jak go tam wrzucano.

- Należałoby się tym zająć - ucieszył się pan Fletcher. - Silnik spalinowy od dawna wymaga sporych usprawnień.

- Zaraz... przecież maszyny nie są żywe - zastanowił się Johnny. - To jak mogą istnieć ich duchy?

- Może i nie są żywe, ale izdnieją - stwierdził Einstein. - Od momentu do momentu są. Należy wiedzieć znaleźć władziwy moment, tak?

- Coś mi to trąci okultyzmem... - bąknął Johnny.

- Jakim okultyzmem?! To fizyka! A raczej metafizyka, od greckiego <i>meta</i>, czyli "poza", i <i>physike</i>, czyli... uhm...

- Fizyka - odpowiedział pan Vicenti.

- Właśnie!

- Nic się nigdy nie kończy. Nic tak naprawdę nigdy nie przestaje istnieć - powiedział Johnny i najbardziej to stwierdzenie zaskoczyło jego samego.

- Idealnie! - ucieszył się Solomon. - Jezdeś fizykiem?

- Ja?! - zdumiał się Johnny. - Pojęcia nie mam o naukach ścisłych.

- Cudownie! Masz doskonałe kwalifikacje.

- Przepraszam, że jak?

- Ignorancja to podstępowa zaleta. Bez niej nie ma mowy o tym, by ktoś mógł zię czegoś nauczyć!

Pan Fletcher zajął się dostrojeniem odbiornika, wybierając kanały duchem przełącznika.

- Chyba dobrze - ocenił, przyglądając się czemuś, co wyglądało jak hiszpański program. - Prosimy tutaj, panie i panowie!

- O, interesujące! - Pani Liberty przebrała się w mgnieniu oka, co za życia nigdy jej się nie udało. - Miniaturowy kinematograf?

* * *

Kiedy Johnny po mniej więcej pięciu minutach zrobił w tył zwrot, wszyscy byli przed telewizorem, spierając się zawzięcie, który kanał oglądać.

Naturalnie wszyscy poza panem Grimmem, który stał z boku ze starannie złożonymi rękoma i obserwował ich z pełnym potępienia wyrazem twarzy.

- Będą przez to kłopoty - zawyrokował. - To jawne nieposłuszeństwo. To kontakty ze światem fizycznym!

Przy normalnym oświetleniu Johnny dostrzegł, że pan Grimm ma niewielki wąsik i okulary, o soczewkach przypominających denka od butelek. Dotąd widywał go o zmroku, toteż te szczegóły umknęły jego uwagi.

- Będą kłopoty - powtórzył pan Grimm. - I to będzie twoja wina, Johnie Maxwell, bo to ty doprowadziłeś ich do tego stanu. Czy tak powinien się zachowywać uczciwy zmarły?

- Panie Grimm... - odezwał się niespodziewanie Johnny. - Kim pan jest?

- Nie twój interes.

- Może i nie, ale jestem ciekaw. Wszyscy o sobie mówią, a...

- Tak się składa, że wierzę w skromność. Wierzę też, że życie powinno się traktować poważnie i zachowywać właściwie. I z pewnością nie zamierzam poddawać się tak nieodpowiedzialnym zachowaniom, jakie widać na brzegu.

- Nie o to mi... - zaczął Johnny i umilkł, bowiem pan Grimm odwrócił się sztywno i wrócił do swego grobu wśród drzew.

Siadł na nagrobku i spojrzał z naganą na Johnny'ego.

- Z tego nic dobrego nie wyniknie! - zapowiedział.

* * *

Johnny oświadczył, że miał wizytę u specjalisty. Zazwyczaj to nauczycielom wystarczało. Jeśli ktoś nie miał tych wizyt zbyt często, nie zadawali więcej pytań. Johnny miewał je rzadko.

Na przerwie Wobbler ogłosił nowiny:

- Moja mamuśka twierdzi, że wieczorem w ratuszu ma być duże spotkanie w sprawie cmentarza. Ma być telewizja i wszystko.

- To nic nie da - skrzywił się Yo-less. - Takich spotkań było już ileś, i co? I nic. A teraz to już jest za późno, żeby cokolwiek zmienić.

- Się pytałem o budowanie różnych rzeczy na cmentarzach - Wobbler jeszcze nie skończył. - Mama twierdzi, że najpierw musi przyjść ksiądz i przeświecić teren. To musi być ciekawe.

- Przeświecić to ja cię zaraz mogę, ofiarno! - jęknął Yo-less. - Odświeścić! Dobrze, że ci się nie pomyliło ze "zbezczeszczeniem", wtedy też robią mszę, tylko czarną, z kozłem, ofiarą i diabłem.

- A może... - Wobbler nie tracił nadziei - może mi się faktycznie pomyliło.

- Z tym ostatnim na pewno nie!

- Pójdę tam - zdecydował Johnny. - Wy też powinniście.

- To i tak nic nie da - ostrzegł Yo-less.

- Da - uparł się Johnny.

- Słuchaj, uparciuchu: cmentarz jest sprzedany. I tego nic nie zmieni, obojętnie ile by było gadania.

- Mimo to trzeba tam być - Johnny nie miał pojęcia dlaczego, ale miał pewność, że tak jest: to było ważne.

- A ten... będą jakieś... wiatry błędzące? - spytał ostrożnie Bigmac.

- Skąd mam wiedzieć? - zdumiał się Johnny. - Chociaż wątpię: oni oglądają telewizję.

Pozostali wymienili znaczące spojrzenia.

- Zmarli oglądają telewizję? - upewnił się Wobbler.

- Właśnie tak, nie wysilajcie się na komentarz. Nie ja to wymyśliłem. Uruchomili stary telewizor, siedzą i oglądają.

- Znam gorsze sposoby marnowania czasu - przyznał Wobbler. - Choć niedużo...

- Wątpię, żeby dla nich czas był tym samym co dla nas... - mruknął Johnny.

- A propos czasu. - Yo-less przestał podpirać ścianę. - Wątpię, żeby jutro był najlepszy czas na pałętanie się po cmentarzach.

- Dlaczego? - spytał Bigmac.

- A wiesz, co jest jutro?

- Środa - odparł zgodnie z prawdą Bigmac.

- Halloween! - poprawił go Wobbler. - I wszyscy jesteście zaproszeni! Do mnie, pamiętajcie!

- Aha! - ucieszył się Bigmac.

* * *

- Podstawa jest niesamowicie wręcz prosta - wyjaśnił pan Fletcher. - Malutki punkt światła przelatujący tam i z powrotem wewnątrz szklanej butli. W zasadzie to lampa elektronowa jest łatwiejsza do kontrolowania niż fale dźwiękowe...

- Przepraszam - wtrąciła pani Liberty - ale gdy pan stoi przed ekranem, obraz się rozmazuje.

- Proszę o wybaczenie - bąknął pan Fletcher, odskakując pośpiesznie. Spokojniej już

odszedł na bok, siadł i spytał: - I co teraz?

Zmarli, usadowieni w rzędach, wpatrywali się zafascynowani w ekran.

- Mam streścić, co do tej pory było, czy jak? - zdziwił się William Stickers.

- Przyznaję, że inaczej wyobrażałem sobie Australię - rzekł Alderman. - Więcej kangurów, a mniej młodych kobiet w niestosownych ubiorach.

- Mnie tam to nie przeszkadza - stwierdził Stickers. - Zdecydowanie wolę młode kobiety od kangurów.

- Panie Stickers! Wstydziliby się pan: jest pan martwy!

- Ale mam dobrą pamięć, pani Liberty.

- Och, zakończyło się - westchnął Solomon Einstein, gdy na ekranie pojawiła się lista płac. - I patrzcie państwo, dalej nikt nie wiadomo.

- To się nazywa serial - poinformowała pani Liberty. - Ten jegomość w telewizorze mówił, że jutro będzie następny odcinek. Musimy go oglądać! Koniecznie.

- Robi się ciemno - zauważył siedzący z tyłu pan Vicente. - Czas wracać.

Odruchowo wszyscy spojrzeli w stronę cmentarza.

- Jeśli chcemy, naturalnie - dodał z lekkim uśmiechem.

Ciszę przerwał Alderman:

- Cóż... niech mnie szlag trafi, jeżeli teraz tam wrócę.

- Thomasie Bowler! - upomniała go pani Liberty.

- Co? Jak człowiek po śmierci nie może sobie po- kłać, to ja mam dość. Szlag! Cholera! Wiecie, o co mi chodzi: telewizja, radio, ciągle coś się dzieje. Świat idzie naprzód i nie widzę powodu, dla którego mamy się cofać albo stać w miejscu. To nudne. Nie wracam. W życiu!

- Przecież pan nie żyje?!

- Teraz się tak mówi: "za nic na świecie", pani Liberty - poinformował ją scenicznym szeptem William Stickers.

- Ależ... pozostanie tam, gdzie nas umieszczono, jest właściwe - obruszyła się pani Liberty. - Musimy tam pozostać...

- Hmm - to był pan Grimm.

Zmarli spojrzeli na niego niepewnie.

- W pełnej rozciągłości się z panią zgadzam - powiedział Grimm.

- O, witaj, Eryku - bąknął chłodno Alderman.

Eryk Grimm skrzyżował dłonie na piersiach i uśmiechnął się. Od tego uśmiechu nawet martwym zrobiło się zimno. I nieswojo. I jakoś tak strasznie.

- Może byście tak posłuchali sami siebie - zaproponował pan Grimm. - Jesteście martwi! Zachowujcie się więc, jak na martwych przystało. Macie swoje lata, to najprostsze chyba rozumiecie. Skończyło się! Wszystko się skończyło. Wiecie, co się stanie, jeżeli zbyt długo nie wróciacie. Strach o tym myśleć, prawda? Więc przestańcie słuchać tego nieletniego idioty i zaniechajcie tych wygłupów.

Zmarli robili, co mogli, by mu nie spojrzeć w oczy, w czym okulary mówiącego były wielce pomocne. Kiedy się jest martwym, pewne rzeczy się wie, podobnie jak kiedy się jest żywym, wie się, jak oddychać. Tym razem chodziło o świadomość, że nadejdzie ten dzień. I że trzeba być przygotowanym. Będzie ten ostatni wschód słońca i trzeba być gotowym, by wziąć udział w ciągu dalszym.

Ostatni wschód słońca. Dzień sądu. Mógł to być każdy następny dzień i trzeba być przygotowanym na jego nadejście.

- Małpowanie młodszych wam nie przystoi - dodał pan Grimm. - Jesteśmy martwi, więc powinniśmy tu czekać, jak na uczciwych ludzi przystało. A nie ba- brać się w fizyce czy w czymś zwyczajnym!

- Cóż, czekałem już osiemdziesiąt lat - odezwał się po chwili milczenia Alderman. - Jak to ma być jutro, to niech sobie będzie. Mam zamiar się rozejrzeć po świecie i resztę mam gdzieś. Ktoś jeszcze ma taką ochotę?

- Owszem, ja. - William Stickers wstał.

- Jeszcze ktoś?

Podniosła się połowa siedzących. Kilku innych rozejrzało się i także wstało. W panu Grimmie było coś takiego, że chciało się być po przeciwnej niż on stronie.

- Zginiecie! - ostrzegł pan Grimm. - Wiecie, że tak będzie! A wtedy będziecie wędrować wiecznie i... zapomnicie.

- Mam tu podobno potomków - przypomniał Alderman.

- Wszyscy mamy - zawtórowała mu pani Liberty. - I wiemy, jakie są zasady. Pan też!

Ponieważ zasady były. Nigdy nie ogłaszane głośno, ale wszyscy je znali; tak jak żywi wiedzieli, że jeśli na przykład coś się upuści, to to spadnie, a nie dajmy na to odleci. Tyle że Alderman był zdecydowany i nieustępliwy niczym bryła betonu.

- I tak się rozejrzę po starych śmieciach - mruknął zdeterminowany.

- Po jakich śmieciach? - zdziwiła się pani Liberty. - Oni tak teraz mówią na... - zaczął Stickers, ale

nie zdążył dokończyć.

- Z całą pewnością nie chcę wiedzieć! - Pani Liberty także wstała. - Co za pomysł!

- Tam jest świat, który pomogliśmy kiedyś uporządkować, i mam ochotę zobaczyć, co z tego wyszło. - Alderman był uparty.

- W dodatku jak będziemy trzymać się razem, to zajdziemy dalej i nikt nie zapomni, kim jest - dodał pan Vicenti.

- Cóż, skoro obstajecie przy swoim, to powinien wam towarzyszyć ktoś trzeźwo myślący - zdecydowała pani Liberty.

I tak zmarli wymaszerowali w charakterze zorganizowanej wycieczki, kierując się w stronę śródmieścia. Nad kanałem, a raczej przed telewizorem pozostali tylko pan Fletcher i Solomon Einstein.

- Ciekawe, co w nich wstąpiło? - zastanowił się pan Fletcher. - Zachowywali się prawie jak żywi.

- Oburzające! - oznajmił nie wiadomo czemu triumfującym tonem pan Grimm, zupełnie jakby cudze złe zachowania sprawiały mu satysfakcję.

- Solomon twierdzi, że przestrzeń jest złudzeniem, niemożliwe więc jest iść dokądkolwiek czy być gdziekolwiek - dodał pan Fletcher.

Einstein tymczasem zrezygnował z prób uczesania, czy choćby wygładzenia tego, co miał na głowie, i powiedział:

- Z drugiej strony przy Cable Street był całkiem miły pub...

- Tylko żebyś nie miał złudzeń, że cię obsłużą. - Pan Fletcher uśmiechnął się. - To nie

seans spirytystyczny...

- Sam Cię obsłuży. Zawsze tam było miło. Jak Cię cały dzień wypychało lisy, to wieczorem przy piwie było tam naprawdę miło. Często tam przeziadywałem...

- I ty mówiłeś o iluzjach przestrzeni. - Pan Fletcher potrząsnął głową. - Mieliśmy popracować nad telewizorem. Mówiłeś, że nie ma żadnych teoretycznych przeszkód, żebyśmy nie mogli...

- Tak sobie myślę, że dobrze czasem trochę zamego Ciębie pooszukiwać... -
oznajmił spokojnie Solomon Einstein.

I pozostał jedynie pan Grimm.

Odwrócił się, wciąż się przezroczyście uśmiechając, i ciężko siadł. Zapowiadało się dłuższe czekanie.

Rozdział siódmy

Sala zebrań w Civic Centre imienia Franka W. Arnolda była mniej więcej w połowie pełna. Wszędzie pachniało chlorem (z basenu), kurzem, pastą do podłogi i drewnem. Od czasu do czasu ktoś zaglądał, przekonany, że to spotkanie kółka ogrodniczego czy klubu kolekcjonerów kota kudłatego. Następnie, gdy już się przekonał o swej pomyłce, próbował wyjść, pchając z uporem maniaka drzwi z tabliczką "CIĄGNĄC". Gdy to nie dawało efektu, zaczynał się rozglądać, zauważał tabliczkę i przyglądał się jej z mieszaniną złości i podejrzliwości, jakby była dla idiotów, a nie dla średniej krajowej. W końcu udawało mu się wyjść, postępując zgodnie z napisem, i aż do następnego razu był spokojny.

Mówcy tracili czas, pytając siedzących z tyłu, czy słyszą, a potem trzymając mikrofon zbyt blisko głośników, przez co te ostatnie wyły, bo się sprzęgało. Ktoś próbował całość wyregulować, w rezultacie wyskoczył bezpiecznik i trzeba było poszukać dozorcę. Naturalnie ów ktoś znowu pchał drzwi z uporem chomika na karuzeli.

Mówiąc krótko, było to najnormalniejsze w świecie zebranie.

Johnny też tak uważał, mimo iż zbyt wielu doświadczeń w zbieraniu się jeszcze nie miał. Gdyby na Jowiszu siedmionodzy obcy odbywali spotkania, pewnie wyglądałyby tak samo, z jedną być może różnicą - napis na drzwiach byłby w innym alfabecie. Cała reszta pozostałaby bez zmian - o tym był absolutnie przekonany.

Na widowni siedziało paru nauczycieli, co go szczerze zaskoczyło. Nigdy właściwie się o nich nie myśli jako o ludziach. Było też kilka osób, które widział na cmentarzu z psami, ale tym razem przyszli bez psów. Widać było, że się czują nieswojo.

W przeciwieństwie do zasiadających za stojącym na podwyższeniu stołem z mikrofonem. Ci wyglądali, jakby byli u siebie.

Za stołem zasiadało: dwóch przedstawicieli United Amalgamated Consolidated Holdings, mężczyzna z Biura Planowania Urzędu Miasta i przewodnicząca Rady Miejskiej Blackburny, wyglądająca jak młodsza, tylko paskudniejsza odmiana pani Liberty. Nazywała się zresztą Liberty, tyle że była panną i Johnny czuł nieodpartą chęć spytania jej, czy

przypadkiem tamta nie jest jej prababcią, ale się opanował - nie będzie zawstydział całkiem, jak by nie było, porządnej zmarłej. Po mniej więcej kwadransie Johnny dokonał odkrycia: mówców nie dało się normalnie słuchać. Można to było robić jedynie wybiórczo, bo inaczej bełkotliwy słowotok albo człowieka zalewał, albo usypiał. W każdym razie przestawało się mieć ochotę na cokolwiek, zwłaszcza na myślenie. Większość obecnych była w średnim wieku, ale sądząc po reakcjach, albo do tego wniosku nie doszli, albo ich doświadczenia w zbieraniu się były tak pesymistyczne, że dawno przestali walczyć z zalewem akustycznego bełkotu.

A przecież ci ludzie przyszli tu z zamiarem zabrania głosu, a nie wysłuchiwania okrągłych komunałów, z których nic nie wynikało poza prostą prawdą, że decyzję o zlikwidowaniu cmentarza już podjęto i przyklepano, a całe to zebranie jest tylko farsą i obijaniem sobie tyłka blachą przez zainteresowanych, na wypadek późniejszej awantury. Przecież robili spotkania, zasięgali głosu opinii publicznej (nie słuchając go naturalnie, ale o to potem nikt nie pyta): o, proszę, nawet na dwa dni przed planowanym rozpoczęciem prac odbyło się zebranie. A prace naturalnie rozpoczną się w planowanym terminie.

Chyba że ktoś coś zrobi.

Johnny nie miał najmniejszej ochoty się wyróżniać, ale po kolejnych pięciu minutach już wiedział, że nie ma wyjścia, bo inaczej słowotok zaleje wszystkich do reszty i będą siedzieć i zgadzać się na wszystko, otępiali niczym morskie anemony.

Skoro tak wyszło, nie czekając dłużej, wstał, odchrząknął i powiedział:

- Przepraszam...?

* * *

Pub "Pod Białym Łabędziem" przy Cable Street od niepamiętnych czasów znany był albo jako "Łabądek", albo jako "Błotna Kaczka". Był to typowy angielski pub - zatłoczony, głośny, pełen muzyki ze starej szafy grającej i wybuchów ze starożytnych automatów z grammi, równie wiekowymi jak utwory niejakiego Szekspira.

W kącie, wciśnięta między jeden z takich automatów (o dźwięcznej nazwie "Nuke the Gook", co można przetłumaczyć jako: Rozwal Żółtka) a ścianę, siedziała pani Tachyon.

Przed nią stała szklanka guinnessa.

Określenia "szalony" używa się albo w stosunku do ludzi, którzy stracili zmysły, albo tych, którzy mieli ich więcej niż pozostali. Pani Tachyon była jedyną osobą, która natychmiast zauważyła niewielki spadek temperatury w lokalu. Uniosła głowę, spojrzała w kierunku źródła owego spadku i uśmiechnęła się trój- zębnym uśmiechem.

Smuga chłodnego powietrza przesunęła się ku szafie grającej, zamarła przy niej na chwilę, po czym ruszyła w stronę baru. Z szafy tymczasem popłynęły zdecydowanie inne melodie.

- "Roses are Blooming in Piccardy" - rozpoznała uszczęśliwiona pani Tachyon. - O, tak!

Wokół samograja zebrał się poirytowany tłumek, próbując zmusić go do zagrania poprzedniego utworu, ale bez rezultatu. Kiedy normalne sposoby, to jest kopy i uderzenia, zawiodły, wyciągnięto wtyczkę z gniazdka. Szafie grającej nie zrobiło to różnicy - grała dalej.

Zanim klientela oprzytomniała, barman z wrzaskiem upuścił napelnianą właśnie szklankę: stojący najbliżej baru automat do gry eksplodował i zapłonął.

A potem zgasły światła.

Chwilę później pani Tachyon pozostała jedynym gościem pogrążonego w półmroku lokalu. Gdzieś na zapleczu kłął barman, próbując wymienić bezpiecznik, ale ledwo założył nowy, ten natychmiast się przepalał. Wskutek tego pub oświeślały jedynie żarzące się szczątki automatów do gry, nadając mu przyjemny, czerwonawy odcień.

Z pobjowiska na podłodze uniosły się duchy dwóch szklanek piwa i podryfowały do stolika.

- Zdrówko! - zaproponowała radośnie pani Tachyon.

* * *

Przewodnicząca spojrzała znad zsuniętych na czubek nosa okularów i oznajmiła chłodno:

- Pytania na końcu, proszę państwa.

Johnny prawie zrezygnował, ale powstrzymał się resztką sił przed kapitulacją.

- A kiedy będzie koniec? - spytał rzeczowo.

I poczuł, jak reszta obecnych się budzi.

Przewodnicząca spojrzała z pewnym zaskoczeniem na resztę przedstawicieli. W długoletnich i dogłębnych doświadczeniach spotkaniowych, zjazdowych i konferencyjnych z czymś takim jeszcze się nie spotkała. Johnny zauważył wcześniej, że miała dziwny zwyczaj - zamykała oczy, zaczynając zdanie, a otwierała je, kończąc, co dawało nieco niesamowity efekt, zwłaszcza że akcentowała tak, jakby kropki dzieliły zdania na części:

- Kiedy ("zamknięcie") w pełni przedyskutujemy sytuację, zapowiem ("otwarcie") pytania.

Johnny zdecydował, że ma dość.

- Zanim skończycie, to mnie już nie będzie - poinformował spokojnie zebranych. - O dziesiątej muszę być w łóżku.

Wywołało to pomruk aprobaty wśród słuchaczy, z których większość wyznawała zasadę, że najlepiej by było, gdyby wszyscy przed trzydziestką byli o dziesiątej wieczór w łóżkach.

Zresztą w wypadku Johnny'ego była to właściwie prawda - około dziesiątej z zasady był już w swoim pokoju, to zaś, kiedy lądował w łóżku, było już zupełnie inną i przeważnie nieprzewidywalną kwestią.

- Niech chłopak pyta - poparł go głos z tylnych rzędów.

- Robi projekt do szkoły - rozległ się inny (należący do pana Atterbury'ego).

- No dobrze... o co chodzi, młody człowieku?

- Chcę wiedzieć, czy... czy istnieje szansa, że cokolwiek by ktokolwiek tu dziś powiedział, że... może to coś zmienić?

- To ("zamknięcie") raczej nie wydaje się właściwym rodzajem ("otwarcie") pytania.

- A właśnie że jest właściwe! Jest cholernie właściwe - oznajmił pan Atterbury. - Dlaczego przedstawiciel tego holdingu jakiegostam nie odpowie? Wystarczy proste "tak" lub "nie".

Przedstawiciel (ważniejszy) uśmiechnął się do Johnny'ego promiennie.

- Rozważymy naturalnie, i to uważnie, wszystkie punkty widzenia - zaczął - i...

I w tym momencie Johnny przerwał mówcy:

- Przy cmentarzu stoi taka tablica, gdzie pisze, co chcecie zbudować na miejscu cmentarza. Ponieważ wątpię, by wiele osób pragnęło zabudowy starego cmentarza, to skoro taki będzie punkt widzenia większości obecnych, rozumiem, że zdemontujecie tę tablicę. Na początek.

- Prawdę mówiąc, kupiliśmy ten teren...

- Zapłaciliście pięć pensów. Ja go odkupię od was za funta.

Słuchacze zaczęli się śmiać.

- Ja też mam pytanie - powiedział Yo-less, wstając. Przewodnicząca zamknęła usta. Yo-less uśmiechał się uprzejmie i zapraszająco: tylko czekał, by kazała mu usiąść, i było to po nim wyraźnie widać.

- Dobrze - powiedziała spłoszona. - Pytania od drugiego młodego człowieka w koszuli... nie, nie tego... tego...

- Czarnego - odpowiedział Yo-less.

I to ją dobiło.

- Dlaczego rada sprzedała cmentarz? - spytał spokojnie Yo-less, korzystając z ciszy.

- Myślę ("zamknięcie"), że to omówiliśmy już wyczerpująco; koszty utrzymania...

Bigmac szturchnął Johnny'ego, podsuwając mu kartę z wyliczeniami, jaką każdy dostał przy wejściu, i szepcząc coś zawzięcie do ucha.

- Nie rozumiem, skąd się wzięły takie koszty utrzymania cmentarza - stwierdził Yo-less. - Wysłanie kogoś raz czy dwa razy do roku, żeby poprzycinał gałęzie i żywopłot, to znowu nie majątek, a nic więcej się tam nie robi. Nawet ogrodzenie od paru lat nie jest naprawione.

- Możemy zresztą poprzycinać żywopłot za darmo - zaproponował Johnny.

- Możemy? - zdziwił się Wobbler, wychodzący z założenia, że zajęcia na świeżym powietrzu są pechem przytrafiającym się innym.

Słuchacze, którzy rozbudzili się tymczasem na dobre, teraz zaczęli się nawet ożywiać.

Przewodnicząca westchnęła rozziewając, dając wszystkim do zrozumienia, z jakim to cymbałem zmuszona jest się męczyć w imię wspólnego dobra, o własnej pensji nie wspominając.

- Faktem jest, młody człowieku, co wielokrotnie już wyjaśniałam, że koszty są po prostu zbyt wysokie, zwłaszcza że cmentarz jest...

Johnny przestał jej słuchać i podjął ostateczną decyzję.

- Nieprawda! - powiedział głośno. - One wcale nie są zbyt wysokie.

- Jak śmiesz mi przerywać! - pisnęła przewodnicząca, nawet nie próbując zapanować nad sobą.

- W pani wyliczeniu napisane jest, że cmentarz przynosi straty, co jest idiotyzmem. Cmentarz nie może przynosić dochodów, bo to nie wesołe miasteczko, ale nie przynosi także strat. Zwłaszcza takich, jak tu podano. Mój przyjaciel Bigmac, tu zresztą obecny, uważa, że to, co wpisano jako straty, to wartość ziemi w wypadku jej sprzedaży. Czyli to, co w postaci ceny za grunt, a potem podatków miasto otrzyma od Unitedcośtam. A to jest po prostu kant.

Przedstawiciel holdingu chciał zaprotestować, ale przewodnicząca była szybsza.

- Demokratycznie wybrana rada... - zaczęła.

- Tylko bez frazesów, proszę - przerwał jej pani Atterbury. - Jest parę aspektów tej transakcji, którym chciałbym się bliżej przyjrzeć. Na razie w demokratyczny sposób, jeśli łaska.

- Rozejrzałem się dość dokładnie po tym cmentarzu - wtrącił Johnny. - Tam leży pełno ludzi, których tutaj wszyscy znają. To, że nie ma wśród nich nikogo naprawdę sławnego, nie jest w sumie ważne. Tutaj są znani, a przecież żyli właśnie tutaj. Jeśli ktoś myśli, że przeszłość to coś, co minęło i się skończyło, to się myli. To, co minęło, nie zniknęło dlatego, że nas już tam nie ma. Przeszłość była i trwa, tylko trzeba trochę wysiłku, żeby to zrozumieć.

* * *

Noc w niektórych częściach miasta była znacznie chłodniejsza, niż wskazywałaby na

to pora roku. Była chłodniejsza miejscami, ale na to niewiele osób zwróciło uwagę.

Jedna z sal "Blackbury Odeon" przeznaczona została na trwającą dwadzieścia cztery godziny projekcję specjalnego bloku filmów grozy z okazji Halloween. Przeważnie cieszyły się one sporym powodzeniem, tym razem jednak publiczność szybko rezygnowała z filmów, narzekając na panujące w kinie zimno i nastrój niesamowitości. To ostatnie zdumiało Armpita, szefa kina i jednego z zagorzałych wrogów Wobblera, który wkręcał się na projekcje bez biletu. Pan Armpit wyglądał jak ów reklamowany szampon "dwa w jednym" - konkretnie jak dwóch dorosłych mężczyzn w jednej marynarce. Na skargi klientów odpowiadał, że przecież jak horror, to dobrze, że niesamowicie. Usłyszał w odpowiedzi, że niedobrze, bo jest zbyt niesamowicie, i na to nie mógł już nic odpowiedzieć.

W każdym razie publiczność w dość krótkim czasie przeniosła się w cieplejsze i jasno oświetlone miejsca, a na widowni oprócz smacznie drzemiącej pani Tachyon pozostali sami zmarli.

- Elm Street? Chodzi o tę ulicę przy plaży?
- Wątpię. Na pewno nic takiego się tam nie działo, pamiętałbym. A już z całą pewnością nie mieszkał tam żaden Freddie, nieważne, z brzytwami czy bez.
- Pomysłowy jegomość, swoją drogą.
- Ale film średnio nudny.
- Poczekamy, następny ma być "Ghostbusters". Jeszcze nigdy nie słyszałem o prawdziwych łowcach duchów.

W pewnej chwili "drzemiącej" pani Tachyon wydało się, że głosy ludzi, które dotąd słyszała, dziwnie przycichły. Ale nie był to powód, by się budzić.

* * *

Johnny zaciął się, czując, że wszyscy na niego patrzą.

- A... a poza tym, jeśli o nich zapomnimy, to będziemy tylko egzystować. Potrzebujemy ich, by pamiętać, kim jesteśmy. To oni zbudowali to miasto i zrobili wszystko, żebyśmy mogli tu mieszkać i żyć. Nie można tego tak po prostu wyrzucić.

Jego przemowa dała przewodniczącej czas na opanowanie i przygotowanie

argumentów, których poprzednio jej zabrakło.

- Niemniej jednak ("zamknięcie") musimy zajmować się teraźniejszością, zmarłych tu już nie ma i nie mają prawa ("otwarcie") głosu - oświadczyła, wertując papiery.

- Myli się pani: są tu i mają prawo głosu. To się nazywa tradycja - odpalił Johnny. - A przegłosowują nas dwadzieścia do jednego.

Zapadła cisza.

Prawie taka jak w sali kinowej "Blackbury Odeon".

A potem pan Atterbury zaczął klaskać.

Dołączyła doń pielęgniarka ze Słonecznych Akrów, a potem inni, i po chwili klaskali wszyscy siedzący na widowni.

Pan Atterbury wstał (ponownie).

- Proszę usiąść, póki co ja prowadzę to zebranie! - parsknęła przewodnicząca.

- Obawiam się, że to akurat nie ma nic do rzeczy. Nie usiądę, dopóki nie powiem, co mam do powiedzenia. Ten chłopak ma rację: zbyt wiele zostało bezmyślnie zabrane i zniszczone. Przebudowaliście High Street, gdzie było wiele małych, przytulnych sklepików. Mieszkało tam sporo ludzi. Teraz wszędzie są neony, magazyny, a ludzie boją się tam pojawić po zmroku. Boją się miasta, w którym mieszkają. Gdybym to ja podjął decyzję, która doprowadziła do podobnego absurdu, wstydziłbym się. I ustąpiłbym ze stanowiska. Ale jak widać ludzie są różni. Na ratuszu wisiał herb Blackbury, teraz dynda tam jakaś ohydna plastikowa beznadzieja. Zburzyliście cały kwartał, by wybudować centrum handlowe imienia Neila Armstronga, który nigdy nie miał nic wspólnego z tym miastem. Przez to wszystkie małe sklepy zostały zmuszone do zaprzestania działalności, bo nikt nie wytrzyma konkurencji z supermarketem. A domy, które wyburzyliście, były urokliwe.

- Toż to był labirynt, getto prawie!

- Bez przesady. Labirynt może i był, ale miał swój urok. Co z tego, że przydomowe szklarnie robiono sznurkiem i gwoździem: emerycy mieli zajęcie i mieli gdzie przesiadywać. Wszędzie pełno było zieleni, psów i dzieci. Nie wiem, co się z nimi stało, a pani wie? A potem wyburzyliście pół dzielnicy, żeby postawić to upiorstwo, w którym od lat nikt normalny nie chce mieszkać, i jeszcze nazwaliście je imieniem złodzieja i oszusta.

- Przecież... wtedy nawet tu nie mieszkałam. Poza tym zgodziliśmy się już jakiś czas temu, że wieżowiec N'Clementa nie był... najlepszym pomysłem.

- Był całkowicie złym pomysłem, chciała pani powiedzieć.

- Skoro chce pan to ująć w ten sposób...

- A więc mogą być błędy?

- Niemniej oczywiste jest, że musimy budować z myślą o przyszłości...

- Miło mi to słyszeć, gdyż pewien jestem, że zgodzi się pani ze mną w kwestii, iż aby budynek się nie zawalił, musi mieć naprawdę głębokie fundamenty. Jeśli pani o tym nie wie, to spytamy jakiegoś specjalistę. Powinno tu być paru inżynierów.

Nastąpiła nowa fala oklasków.

Zasiadający przy stole spojrzeli po sobie z lekką paniką: to zebranie w żaden sposób nie przebiegało tak, jak powinno.

- Obawiam się, że nie mam wyboru i zmuszona jestem zamknąć to zebranie. Miała to być rzeczowa wymiana opinii.

- Sądzę, że była, przynajmniej jednostronnie - odparł pan Atterbury.

- A tak w ogóle to nic pani nie może zaniknąć - dodał Johnny.

- Co proszę?!

- Nie może pani zamknąć tego zebrania, bo to jest miejsce publiczne, my, czyli publiczność, chcemy zebranie kontynuować, a nikt nie zakłócił spokoju.

- W takim razie zbierajcie się państwo do woli, my wychodzimy! - oznajmiła, zgarniając papiery i zrywając się, jakby ją krzesło ugryzło.

Majestatycznie, patrząc jednak pod nogi, zeszła z podium i pomaszerowała ku drzwiom. Pozostali na podium popatrzyli po sobie, po obecnych, i udali się w ślad za nią.

Johnny uśmiechnął się złośliwie.

Naturalnie, pchnęła drzwi, zamiast pociągnąć, a ponieważ nie ustąpiły, zaczęła się z nimi szarpać coraz gwałtowniej. Gdyby nie przedstawiciel holdingu, do reszty straciłaby panowanie nad sobą i byłoby naprawdę wesoło.

Gdy oficjalna część zebrania wyszła, Johnny rozejrzał się: w pobliżu nie było nikogo wyglądającego choćby trochę martwo.

- Chyba jest przeciąg - mruknął niepewnie.
- Zostawili otwarte okno - poinformował go Yo-less.

Informacja dobiła Johnn'ego. Zmarli się nie zjawili i wszystko spadło na niego...

- Zdaje się, że znowu narozrabialiśmy - bąknął Wobbler. - To miało być publiczne spotkanie...

- A co my jesteśmy, jak nie publiczność?
- A jesteśmy?
- Anie?

Przez chwilę wszyscy wpatrywali się w puste podium. W końcu wszedł na nie pan Atterbury.

- Proponuję, abyśmy wreszcie zaczęli sensowne zebranie - zagaił.

* * *

Zimny podmuch wyleciał z kina.

- Przyznaję, że było to kształcące.
- Część tych sztuczek musiała być zrobiona za pomocą luster. Nie ma innej możliwości, możecie mi wierzyć.

- To co robimy teraz?
 - Powinniśmy wrócić.
 - Gdzie znowu?!
 - Na cmentarz naturalnie!
 - Noc jest zbyt młoda, *<i>madam</i>*.
 - Prawda, dopiero zaczęliśmy się dobrze bawić.
 - Właśnie. Chcę się nacieszyć życiem. Nigdy mi się to nie udało przed śmiercią.
 - Thomasie Bowler! Tak nie powinien się zachowywać szanujący się mężczyzna!
- Tłumek przy budce z hamburgerami zbił się ciaśniej, gdy powiało nagle mrozem.
- Może w końcu dotrze do pani, pani Liberty, że ja nie mam ochoty dłużej zachowywać się jak szanujący się mężczyzna?!

* * *

W sali konferencyjnej Civic Centre panowała owa specyficzna atmosfera jak w klasie, z której w trakcie lekcji wybiegł nagle nauczyciel. I to z nie do końca logicznych powodów. Tak to bywa z demokracją - skutkuje jedynie wtedy, gdy ludzie mają dokładnie wyjaśnione, jak z niej korzystać.

W końcu uniosła się jedna dłoń.

- Czy my faktycznie możemy to powstrzymać? - spytał jej właściciel. - Wygląda to strasznie oficjalnie...

- Oficjalnie, prawdę mówiąc, nie sędzę, abyśmy zdążyli - przyznał pan Atterbury. - Transakcja kupna-sprzedaży została przeprowadzona legalnie i oficjalnie, i holding ma prawo do cmentarza.

- Jest cała masa innych miejsc - odezwał się ktoś z sali. - Choćby stara fabryka dżemu przy Siatę Road czy miejsce po starych magazynach.

- I możemy im oddać ich pieniądze.

- Możemy im dać dwa razy więcej - poprawił Johnny.

Oświadczenie to powitał wybuch śmiechu.

- Odnoszę nieodparte wrażenie, że taka firma jak United Amalagamated Consolidated Holdings musi naprawdę się liczyć z opinią publiczną - zauważył pan Atterbury.

- A to dlatego, że właściwie nikt nie wie, czym oni się zajmują. To nie fabryka wytwarzająca konkretny, materialny produkt, który sam się sprzedaje albo i nie. Wielkie korporacje nie lubią rozgłosu, zwłaszcza związanego z publicznymi protestami. I nie lubią być obiektem żartów, a udowodniliśmy, że potrafimy się z nich śmiać. Sędzę... że jeżeli faktycznie będzie inna lokalizacja... i jeśli będą przekonani, że traktujemy to poważnie... i jeśli faktycznie proponujemy im podwójną cenę... to powinni zrezygnować z cmentarza.

- A potem powinniśmy coś zrobić w sprawie High Street - dodał ktoś.

- I wysadzić Joshuę N'Clementa, a zbudować tam porządne domy - dodał inny.

- Dobrze mówi! - ucieszył się Bigmac.

Pan Atterbury zamachał gwałtownie.

- Szanowni zebrani, budujący jest wasz zapał, ale proponuję zajmować się

problemami pojedynczo i po kolei. Zaczęliśmy od sprawy cmentarza, jak ją zakończymy, zabierzemy się do innych miejsc w Blackbury.

- Wypadałoby się jakoś nazwać!

- Towarzystwo Przetrwania Blackbury - zaproponował ktoś.

- Brzmi jak coś, co się wkłada do słoika - zaproponował ktoś inny.

- To może Towarzystwo Konserwacji Blackbury? - Jeszcze gorzej: odbija się puszkami...

- Blackbury Pals' - powiedział Johnny.

Pan Atterbury zastanawiał się chwilę.

- To dobra nazwa - zdecydował w końcu, a większość obecnych zaczęła się wzajemnie wypytywać, skąd się wzięła. - Ale wydaje mi się, że z małą zmianą: oficjalnie nazywano ich Ochotnicy z Blackbury i tak właśnie się nazwiemy: Blackbury Volunteers.

- Ale to nic nie mówi o tym, co zamierzamy zrobić - sprzeciwił się ktoś.

- I dlatego możemy zrobić wszystko - odparł Johnny. - Jak się zaczyna, nie wiedząc nic, to wszystko jest możliwe. Einstein tak powiedział.

- Albert? - zdumiał się Yo-less.

- Nie, Solomon - poprawił go pan Atterbury. - Ha! O nim także wiesz?

- Wiem.

- Pamiętam go. Miał pracownię i sklep wędkarski na Cable Street, gdy byłem w twoim wieku. Zawsze miał takie filozoficzne powiedzonka.

- I zajmował się wypychaniem zwierząt? - upewnił się Yo-less. - I myśleniem - dodał Johnny.

- To ostatnie to u nich rodzinne. - Pan Atterbury uśmiechnął się. - Poza tym jak się ma ręce zajęte martwym borsukiem, to ma się sporo czasu na abstrakcyjne myślenie.

- Pewnie - przytaknął z przekonaniem Wobbler. - Lepiej nie myśleć o tym, co się robi.

- W takim razie otwieram pierwsze spotkanie Blackbury Volunteers - ogłosił pan Atterbury.

* * *

Słuchawka telefonu w pubie "Łabądek" pokryła się szronem.

- Gotów, panie Einstein?

- Gotów, panie Fletcher.

Telefon szczęknięt i ucichł.

W pubie zauważalnie się ociepiło.

* * *

Trzydzieści sekund później oziębiło się za to w niewielkim pomieszczeniu kontrolnym radioteleskopu stanowiącego dumę Uniwersytetu w Blackbury. Pomieszczenie znajdowało się ponad dwadzieścia mil od pubu "Łabądek".

- To działa!

- Oczywiście że działa. Ze wszystkich sił we wszechświecie najtrudniej jest przezwyciężyć siłę przyzwyczajenia. Siła przyciągania to przy niej przyszcz.

- Kiedy na to wpadłeś?

- Kiedy preparowałem wyjątkowo dużego pstrąga.

- Pstrąga... aha...!

Pan Fletcher, wciąż oszołomiony do pewnego stopnia stosunkiem pstrąga do grawitacji, rozejrzał się po pomieszczeniu. Nie licząc ich dwóch, znajdował się tu jedynie Adrian Miller, zwany popularnie Szczylem. Miał zamiar zostać astronomem, ponieważ był przekonany, że polega to na wysiadywaniu po nocy i gapieniu się przez teleskop. Rzeczywistość, czyli podliczanie długich słupków w zimnej sali, wolno stojącej na środku pola, niespecjalnie mu odpowiadała. Chwilowo jednak nie stracił jeszcze nadziei.

Liczby produkowane przez teleskop były jedyną pozostałością po gwiazdzie, która eksplodowała dwadzieścia milionów lat temu, niszcząc przy okazji miliard gumowatych stworków zamieszkujących dwie planety i spokojnie sobie żyjących. To zresztą pomagało też Adrianowi zrobić magisterkę, tak więc gumowate stworki nie zginęły całkiem na darmo.

Choć wątpliwe jest, by one także uważały podobnie.

Szczyl z pewnym zdziwieniem uniósł głowę, słysząc uruchamiający się mechanizm

teleskopu i widząc rozbłyskującą radośnie tablicę kontrolną. Próbował odciąć zasilanie, ale główny wyłącznik był lodowaty i ani drgnął. Mógł więc jedynie obserwować, jak czasza nakierowuje się na Księżyc wiszący nad Blackbury i nieruchomieje.

Potem wszystko zamarło, a jeszcze później ożyła drukarka, z której wysunęła się wstęga papieru z wydrukiem:

0101010010101010001000010000110011001010

OTOJESTNICCC00000000011101111

IJESTEMZPOWROTEMOOOO100001...

Pan Fletcher właśnie odbił się od Księżyca i wrócił.

- I jak było?

- Nie miałem czasu, żeby się rozglądać, ale wątpię, żeby mi się tam spodobало.

Najważniejsze, że się udało: możemy latać.

- Doskonale. Tak na marginezie: gdzie zię podział ten młodzieniec?

- Pojęcia nie mam, ale strasznie mu się spieszyło. - Takie czasy widadź... cóż, wrodzimy i powiemy pozostałymi, zgoda?

* * *

Tej nocy na Głównym Posterunku Policji w Blackbury było cicho i spokojnie. Sierżant Comely siedział sobie bezrobotnie i ponuro wpatrywał się w lampki radiostacji.

Łączność radiowa go unieszczęśliwiała, nawet gdy był młodym policjantem. Była wręcz zmorą jego kariery, jako że nie był w stanie nigdy zapamiętać, jaki wyraz odpowiada danej literze alfabetu w meldunkach (na przykład Foxtrot to F). Przynajmniej mu się to nie udawało, gdy podczas pościgu czy innej akcji próbował o drugiej w nocy przekazać numer rejestracyjny podejrzanego samochodu. Jego największym osiągnięciem był meldunek: FOTOGRAFIA HERBATA PSYCHOLOGICZNY, który na dłuższą chwilę sparaliżował dyżurnego.

Nic dziwnego, że w tych warunkach o awansie mógł jedynie pomarzyć.

Radiostacji nienawidził zaś szczególnie w takie wieczory jak ten, gdy pełnił obowiązki oficera dyżurnego. W końcu nie po to wstąpił do policji, by być dobrym w technice.

Spokój przerwał brzęczyk telefonu.

Dzwonił kierownik "Odeonu", tyle że Comely nie bardzo mógł zrozumieć, o co mu chodzi.

- No dobrze... specjalny blok filmowy. Co pan rozumie przez: zrobiło się zimno?... Tak... To co ja mam zrobić: aresztować kino z powodu temperatury? Jestem policjantem, nie ciepłownikiem!... Proszę... Nie, specjalistą od naprawy magnetowidów też nie!

Ledwie odłożył słuchawkę, telefon rozdzwonił się ponownie.

Tym razem odebrał młody policjant.

- Ktoś z uniwersytetu - zameldował, zakrywając dłonią mikrofon. - Mówi, że jakaś dziwna, obca siła opanowała radioteleskop... No, tę antenę na polu pod Siatę.

Ostatnie zdanie dodał pośpiesznie, widząc minę sierżanta po słowie "radioteleskop".

Comely westchnął z rezygnacją.

- Możesz dostać od niego rysopis?

- Kiedyś widziałem taki film, sierżancie - wtrącił inny policjant. - Obcy wylądowali i wymienili wszystkich mieszkańców jednego miasta na olbrzymie warzywa.

- Taak? Tu by z tydzień minął, nimby ktokolwiek zauważył - mruknął Comely.

- On może tylko powiedzieć, że to była dziwna, obca siła. - Policjant odłożył słuchawkę. - I zrobiło się też zimno.

- Aha, a więc dziwne, obce zimno - podsumował sierżant.

- I niewidzialne.

- Mhm. Rozpoznałby je, jakby go zobaczył ponownie?

Obaj podwładni zamarli, próbując zrozumieć pytanie i utwierdzając tym jednocześnie Comely'ego w przekonaniu, że jest zbyt dobry do takiej roboty.

- No dobra - westchnął. - Podsumujmy: Blackbury stało się obiektem inwazji dziwnych, niewidzialnych, ale za to zimnych obcych, W "Łabądku" wysadzili wszystkie gry komputerowe, zaczynając od "Space Invaders", co akurat przypadkiem ma sens. Potem poszli do kina pooglądać horrory, co już jest mniej sensowne...

Przerwał mu kolejny telefon, który niejako odruchowo odebrał młodszy policjant.

- Należy się więc zastanowić, co planują dalej - podjął sierżant.

- To kierownik "Pizza Surprise", sierżancie...

- Pasuje! - ucieszył się Comely. - Wpadli na pizzę! Numer trzy z tuńczykiem i ananasm, pewnie wygląda jak ich kumpel z sąsiedniego systemu.

- Nie zaszkodziłoby porozmawiać z kierownikiem - zauważył policjant, mając na uwadze, że od obiadu minęło sporo czasu. - Żeby okazać troskę o ład i porządek.

- No dobra, pojedę do niego - zdecydował Comely, łapiąc czapkę. - Ale jeśli wrócę jako duży ogórek, ostrzegam: będą kłopoty!

- Tylko ja proszę bez cebuli - pożegnał go dyżurujący przy telefonie.

W powietrzu rzeczywiście było coś dziwnego: jakby było naelektryzowane. Sierżant Comely całe życie mieszkał w Blackbury i nigdy nie był świadkiem czegoś podobnego.

Po kilku krokach olśniło go.

A jeżeli to wszystko było prawdą?! To, że kręcą debilne filmy o inwazji obcych, wcale a wcale nie musi oznaczać, że inwazja nie może mieć miejsca. A wszystkie te filmy mają jedną wspólną cechę (niezależnie od poziomu zidiocenia) - obiektem ataku zawsze jest małe miasteczko. Comely z repertuarem był na bieżąco, bo do późna oglądał telewizję.

Potrząsnął głową, próbując się pozbyć tych ponurych podejrzeń...

I w tym momencie William Stickers przeniknął przezeń.

Na wylot.

- Wiesz, Williamie, chyba nie powinienes być tego robić - zauważył Alderman, obserwując gnającego przed siebie z obłędem w oczach policjanta.

- To nic więcej niż symbol ucisku mas - odparł z godnością Stickers.

- Policja jest potrzebna, bo inaczej ludzie robiliby, co tylko im przyjdzie do głowy! - sprzeciwiła się pani Liberty.

- A to przechodzi ludzkie pojęcie - uśmiechnął się złośliwie pan Vicenti. - Prawda?

* * *

Alderman rozejrzał się po jasno oświetlonej ulicy. Niewielu było na niej żywych

przechodniów, za to całkiem sporo martwych, zaglądających w witryny albo - w wypadku starszych - spoglądających na witryny i próbujących zrozumieć, co to takiego.

- Nie przypominam sobie tylu kupców za moich czasów - stwierdził Alderman. - Musieli się tu sprowadzić ostatnio. Sklep Bootsa, Mothercaresa, Kwika, Spudjalicaya, dużo ich...

- Czyj? - zainteresowała się pani Liberty.

Alderman wskazał na mijany po przeciwnej stronie

sklep należący do jednej z sieci, którą potraktował jako pojedynczych handlowców.

- Spud-u-like - przeczytał pan Vicenti. - Hmm...

- To tak to się wymawia? - zdziwił się Alderman. - Myślałem, że to Francuz. No, no... i wszędzie to elektryczne oświetlenie... I żadnych końskich go... to jest odchodów na ulicy.

- Proszę pamiętać, że jest pan w towarzystwie damy! - parsknęła pani Liberty.

- Dlatego powiedział odchody, nie gówna - poinformował ją radośnie Stickers.

Pani Liberty odebrało mowę z oburzenia.

- I to jedzenie! - entuzjazmował się Alderman. - Chińskie, hinduskie! Kurczaki z Kentucky!... A te stroje! Jak myślicie, z czego one są zrobione?

- Z plastyku - ocenił pan Vicenti.

- Kolorowe i wytrzymałe. - Pani Liberty postanowiła całkowicie zignorować Williama Stickersa. - A wiele dziewcząt nosi spodnie... nadzwyczaj praktyczne i wyemancypowane.

- I wiele jest całkiem ładnych - dodał William Stickers (ignorowany).

- Wszyscy są wyżsi i nie widziałem nikogo o kulach - zdziwił się Alderman.

- Nie zawsze tak było - wtrącił pan Vicenti. - Lata trzydzieste były raczej ponure...

- Owszem, za to teraz... pełno telewizorów w sklepach, wszystko jasne i kolorowe, wysocy ludzie z własnymi zębami... To wiek cudów i dziwów!

- Ludzie na przesadnie szczęśliwych nie wyglądają - zauważył pan Vicenti.

- To pewnie przez to sztuczne oświetlenie - ocenił Alderman.

* * *

Była prawie północ, gdy zmarli spotkali się pod arkadami centrum handlowego.

Sklepy były co prawda pozamykane na głucho, ale jak się jest martwym, to zupełnie nie przeszkadza.

- Przyznaję, to była przednia zabawa - oświadczył Alderman.

- Zmuszona jestem przyznać panu rację - stwierdziła pani Liberty. - W życiu się tak dobrze nie bawiłam. Po śmierci naturalnie także nie. Prawdziwa szkoda, że musimy wracać.

- Dlaczego? - spytał spokojnie Alderman.

- Nie chciałabym brzmieć jak pan Grimm - powiedziała dziwnie łagodnie pani Sylvia Liberty - ale wszyscy znamy zasady: musimy wrócić. Nadejdzie ten dzień i musimy być gotowi!

- Nigdzie nie wracam. Dopiero mi się zaczęło naprawdę podobać i nie zamierzam rezygnować z przyjemności - oświadczył Alderman. - Całe życie to robiłem i mam dość.

- Ja też nie wracam - zawtórował mu Stickers. - Precz z tyranią!

- Musimy być gotowi na Dzień Sądu! - oburzyła się pani Liberty. - Może nastąpić jutro i co będzie, jak nas nie będzie?!

- Ponad osiemdziesiąt lat grzecznie czekałem - powiedział spokojnie Thomas Bowler Alderman. - Spodziewałem się, że przez chwilę będzie ciemno, a potem pojawi się ten jegomość rozdający skrzydełka albo ten drugi z widłami...

- Wstyd!

- A co, ty się nie spodziewałeś skrzydełek?

- Nie o to chodzi - zirytował się William Stickers. - Wiara w przetrwanie tak zwanej duszy po śmierci to prymitywny przesąd nie mogący mieć miejsca w dynamicznie rozwijającym się społeczeństwie socjalistycznym.

Oświadczenie to wywołało głęboką ciszę.

- Nie wydaje cię panu, że warto by przemyśleć ztanowizko w świetle zastanych dowodów i doświadczeń? - spytał ostrożnie Solomon Einstein.

- Niech się panu nie wydaje, że mnie pan przekona tylko dlatego, że przypadkowo ma pan rację. To, że ciągle... generalnie tu jestem, w niczym nie narusza ogólnej teorii!

Pani Liberty zapukała energicznie duchem parasolki w chodnik, kończąc tę bezsensowną dyskusję.

- Nie mówię, że nie miałabym ochoty na ciąg dalszy tak miłego wieczoru - oświadczyła - ale zasady są zasadami: o świcie musimy być na miejscu. Co będzie, jak zapomnimy, kim byliśmy? Co będzie, jeśli to jutro będzie Sąd Ostateczny?

Thomas Bowler westchnął, jakby miał do czynienia z wyjątkowo tępym dzieckiem.

- Założmy, że będzie, a wiecie, co ja na to? - spytał retorycznie. - Przez osiemdziesiąt cztery lata dokładałem starań i zachowywałem się jak przyzwoitemu człowiekowi wypada. A potem zmarłem i następne co robiłem przez prawie dziewięćdziesiąt lat, to grzecznie siedziałem w marmurowej budzie, jak na przyzwoitego nieboszczyka przystało. I co? I nic. Wciąż jestem osiemdziesięciolatkiem z krótkim oddechem. Przecież ja w ogóle nie oddycham, to o co chodzi?! Wszyscy wiemy, że nadejdzie dzień. Tylko nikt nie wie kiedy. I to ma być sprawiedliwe? Teraz zaczęło mi się wreszcie podobać, życie zaczęło sprawiać mi przyjemność i co? Mam wrócić i czekać niczym w poczekalni u lekarza...

Pan Fletcher trącił w bok Solomona Einsteina i spytał konspiracyjnym szeptem:

- Powiemy im?

- Co macie nam powiedzieć? - zainteresował się Stickers.

- Widzicie, jest tak... - zaczął Einstein i urwał.

- Czasy się zmieniły - wyręczył go pan Fletcher. - I najwyższa pora skończyć z przesadami typu: pianie koguta, bycie o świcie na miejscu czy inne podobne. Kiedyś było to normalne i potrzebne, ale wtedy ludzie też wierzyli, że Ziemia jest płaska, a teraz w to ostatnie nikt nie wierzy...

- Przepraszam - wtrącił nieśmiało jeden ze zmarłych, prostując się wymownie.

- A, tak: jest wyjątek. Przepraszam, panie Newton - zauważył pan Fletcher. - Jeśli ktoś z państwa nie wie, to obecny tu Ronald Newton (1878-1934) był przewodniczącym Stowarzyszenia Płaskiej Ziemi, oddział w Blackbury. Jak widać, przekonań nie zmienił, ale nie w tym rzecz. To, co chcę powiedzieć...

- Zprowadza się do tego, że żwīt jezd miejscem, tak jak i czasem - wypalił poirytowany Solomon Einstein.

- Co, na miłość boską, chce pan przez to powiedzieć? - jęknęła pani Liberty.

- Ziemia jezd okrągła, więc jeden dzień i jedna noc bez końca się gonią.

- I ta noc nigdy się nie skończy - dodał pan Fletcher. - Jeśli ma się wystarczającą szybkość...

- Relatywnie rzecz biorąc - dokończył pan Einstein. - Wszystko bowiem jezd względne, nieprawdaż?

Rozdział ósmy

Noc, która się nigdy nie skończy...

Północ jest ruchomym miejscem, przesuującym się wokół planety z prędkością tysięcy mil na godzinę. Czas mija wszędzie, ale dni i noce to jedynie lokalne zjawiska zdarzające się ludziom pozostającym w jednym miejscu. Jeśli ktoś porusza się wystarczająco szybko, ziemski zegar można dogonić i wyprzedzić...

- Ilu nas tu jest w tej budce? - spytał pan Fletcher.

- Siedemdziesięciu trzech - poinformował go Alderman.

- To się nazywa ekonomiczne wykorzystanie miejsca. Dokąd się wybierzemy? Może do Islandii, tam nawet nie ma jeszcze północy.

- A w Islandii może być zabawnie? - spytał Alderman.

- A lubisz ryby?

- Nie cierpię.

- No to na pewno nie Islandia. Tam bez ryb nie ma zabawy. Tam bez ryb w ogóle nic nie ma. Cóż... w Nowym Jorku jest dopiero wczesny wieczór.

- Do Ameryki? - zdziwiła się pani Liberty. - A nie oskalpują nas tam?

- Na pewno nie! - oburzył się William Stickers. Był bardziej zorientowany, bo później umarł.

- Prawdopodobnie nie - poprawił go pan Fletcher, który oglądał w nocy wiadomości, w związku z czym był lepiej zorientowany niż William Stickers.

- Jestem ciekaw, jak można oskalpować nieboszczyka! - parsknął Alderman. - Jesteśmy martwi, więc czym się mamy przejmować?

- Amerykanie są zdolni. Czasami do wszystkiego. No dobra. To może się wam początkowo wydać nieco nietypowym sposobem podróżowania, ale musicie jedynie mnie naśladować - poinformował zebranych pan Fletcher. - Tak na marginesie: jest tu Stanley Roundway?

Piłkarz uniósł dłoń.

- Stanley: udajemy się na zachód, rozumiesz? Chodź raz po śmierci postaraj się nie pomylić kierunków. Panie i panowie: zaczynamy...

W telefonie coś zaczęło cykać.

Jeden po drugim zmarli zniknęli.

* * *

Johnny leżał w łóżku i obserwował nurkujący w świetle księżyca prom (wciąż nie naprawił zaczepu).

Wieczór spędził wyjątkowo pracowicie - po spotkaniu rozmawiał z nim ktoś z "Blackbury Guardian", potem ktoś inny z Mid-Midlands TV. Ludzie mu czegoś gratulowali, no i w efekcie wrócił do domu około jedenastej.

Problemów z tego powodu nie było, bo matka jeszcze nie wróciła, a dziadek oglądał wyścigi rowerowe w Niemczech.

Zastanawiało go jedno: żołnierze przyszli po kolegę aż z Francji, a miejscowi zmarli bali się wyjść poza cmentarz, a przecież byli tacy sami i za życia, i po śmierci. To było bez sensu. Ci z Francji przyszli, bo tak należało zrobić. A więc uporczywe pozostawanie w miejscu swego pochówku jest absurdalne.

"New York, New York."

- Dlaczego nazwali go dwa razy?
- Cóż, to Amerykanie. Pewnie chcieli być absolutnie pewni.
- Morze światła... Co to takiego?
- Statua Wolności.
- Podobna do ciebie, Sylvia.
- Bezczelność!
- Pamiętajcie, żeby uważać na tych całych łowców duchów: to też może być amerykański wynalazek!
- Wydaje mi się, Williamie, że to był jedynie kinematograf.
- Ile do świtu?
- Godziny. Za mną, proszę wycieczki, poszukamy lepszego widoku.

Nikt nigdy nie rozwiązał zagadki, dlaczego przez prawie godzinę wszystkie windy w World Trade Centre jeździły sobie puste w górę i w dół...

* * *

Trzydziesty pierwszy października wstał mglisty. Johnny rozważał, czy przypadkiem nie zachorować, bo wieczór zapowiadał się męczący. W końcu zrezygnował z tego całkiem atrakcyjnego pomysłu. W szkole zawsze się cieszyli, jak człowiek wpadał od czasu do czasu.

Po drodze zahaczył o cmentarz.

Nie było tam żywej duszy. Wyglądało to zupełnie jak na filmie, gdy się czeka, aż obcy zaatakują, bo że zaatakują to pewne. Zawsze rzeczywistość okazuje się potem gorsza od przypuszczeń.

Przy telewizorze zastał jedynie pana Grimma.

- A, to ty - powitał go tamten. - Teraz to dopiero namieszałeś.

I wskazał na widmo ekranu.

Widać tam było pana Atterbury'ego konwersującego z jakąś kobietą. Oprócz nich w studiu był jeszcze ten ważniejszy przedstawiciel holdingu. I widać było, że ma problemy. Przyszedł z przygotowanymi odpowiedziami, a tymczasem nikt mu nie zadał właściwych pytań. Gorzej - zadano mu pytania, jakich dotąd w życiu nie słyszał. Największym jego problemem było zaakceptowanie nowej wersji zdarzeń.

Pan Grimm ustawił odbiór na głośniejszy.

- ...w każdym stadium jesteśmy czuli na głos opinii publicznej, ale w tej sprawie zapewniam panią, że zawarliśmy właściwą i legalną umowę z odpowiednimi władzami.

- Być może, natomiast Blackbury Volunteers uważają, że zbyt wiele decyzji zostało podjętych za zamkniętymi drzwiami - odparła dziennikarka, nie ukrywając radości. - Uważają, że kwestia ta nigdy nie była właściwie przedyskutowana oraz że nikt nie słuchał tego, co mówili mieszkańcy.

- Naturalnie nie jest to winą Amalagamated Consolidated Holdings - dodał pan Atterbury, uśmiechając się najniewinniej w świecie. - Firma ma godne pozazdroszczenia zasługi we współpracy z opinią publiczną. Sądzę, że mamy tu do czynienia raczej z pomyłką

niż z zamiarem przestępczym, a Ochotnicy z prawdziwą przyjemnością będą służyć pomocą w każdy możliwy sposób. Być może nawet zdołamy zrekompensować straty poniesione przez firmę.

Najprawdopodobniej nikt poza Johnnym i przedstawicielem nie zauważył, że pan Atterbury otworzył w tym momencie dłoń i zaczął się bawić dziesięciopensówką. Przedstawiciel przyglądał się temu z miną myszy obserwującej kota. Johnny natomiast zaniemówił z podziwu, pan Atterbury bowiem publicznie przekupywał firmę, proponując dwukrotną cenę cmentarza, i to tak, że nie dość, iż mało kto zdawał sobie z tego sprawę, to nikt nie mógł mu niczego zarzucić. A już na pewno nie przekupstwa.

- To bardzo interesująca oferta - oceniła dziennikarka. - Proszę mi powiedzieć, panie ...er...

- Jestem rzecznikiem przedsiębiorstwa. - Przedstawiciel wyglądał na chorego: z lekka pozieleniał i zaczął się pocić.

- Proszę mi powiedzieć, panie rzeczniku, czym właściwie się zajmuje United Amalgamated Consolidated Holdings. Albo czym się zajmują, bo w nazwie występuje liczba mnoga.

Pan Atterbury do spółki z dziennikarką mogliby szkolić kadry Świętej Inkwizycji - o tym Johnny był głęboko przekonany.

Pan Grimm ściszył telewizor.

- Gdzie są wszyscy? - spytał Johnny.

- Nie wrócili jak dotąd - odparł pan Grimm z ponurą satysfakcją. - Nie spali w swoich grobach... tak się dzieje zawsze, gdy ludzie nie słuchają. Wiesz, co się z nimi stanie?

- Nie.

- Wyblakną i znikną. Naopowiadałeś im bzdur i poniosło ich. A ludzie, którzy nie są tam, gdzie być powinni, i nie robią tego, co należy, przestają istnieć. Jutro może być Dzień Sądu, a ich nie będzie... Myślę, że zasłużyli na to własną głupotą!

Było coś w panu Grimmie, co powodowało, że nawet tak spokojny osobnik jak Johnny miał ochotę mu przyłożyć. Nie zrobił tego tylko dlatego, że biłby powietrze, ale ochota pozostała.

- Nie wiem, dokąd się udali, ale nie sędzę, żeby im się stało coś złego - odparł z niechęcią.

- A sędź sobie, co chcesz. - Pan Grimm odwrócił się do telewizora.

- Wie pan, że dziś jest Halloween?

- Tak? - Pan Grimm nie przestał oglądać reklamy czekolady. - W takim razie należy uważać, zwłaszcza w nocy...

Johnny wzruszył ramionami i odszedł.

Wycieczka jechała na fali radiowej ponad Wyoming. Zmarli już zaczynali się zmieniać - jeszcze można ich było rozpoznać, ale tylko wtedy, gdy o tym pomyśleli.

- Widzicie, że miałem rację? To możliwe i bez drutu - oznajmił ktoś, kto okazjonalnie był panem Fletcherem.

Nad Górami Skalistymi wpadli w burzę elektryczną, co było naprawdę zabawne. A potem przesiedli się na falę radiową do Kalifornii.

- Jaki czas mamy?

- Północ!

* * *

W szkole Johnny robił za bohatera.

W "Blackbury Guardian" na pierwszej stronie był artykuł zatytułowany "Machlojki Rady w sprzedaży cmentarza". Co prawda zniekształcono nazwisko Johnny'ego, ale i tak dzięki obecnym na zebraniu nauczycielom wszyscy wiedzieli, o kogo chodzi. Była tam też następująca wzmianka:

Bohater wojenny Arthur Atterbury, prezes nowo powstałego towarzystwa Blackbury Volunteers, powiedział naszemu wysłannikowi: "W tym mieście żyją młodzi ludzie z większym wyczuciem i znajomością historii w małym palcu niż wielu dorosłych, zwłaszcza udzielających się w rozmaitych komisjach, w całym swoim, być może nawet atrakcyjnym ciele". Ostatnie zdanie przyjmuje się jako skierowane pod adresem przewodniczącej Rady, Ethel Liberty, która wczoraj odmówiła komentarza.

Skutki łatwo było przewidzieć - na lekcji historii poproszono Johnny'ego, by opowiedział o Blackbury Pals', no a potem już poszło lawinowo - i Stickers, i pani Liberty, i reszta. Tyle że oficjalnie źródłem wiadomości Johnny'ego była biblioteka, nie cmentarz.

Znalazła się entuzjastka pragnąca zająć się projektem "Pani Liberty, bojowniczką praw kobiet", na co Wobbler stwierdził, że owszem, to bojowniczka prawa kobiet do robienia głupstw, i zaczęła się tak zwana dyskusja. Trwała do dzwonka.

Nawet dyrektor zainteresował się całą sprawą. Prawdopodobnie zresztą pod wpływem ulgi, że tym razem nie chodzi o zamieszanie w napad, uczestnictwo w gangu czy inną typową rozrywkę młodzieży ze starszych klas. Johnny, wezwany, wyruszył na poszukiwanie jego gabinetu, żałując, że nie może wykorzystać znanej metody polegającej na oznaczaniu drogi rozwijaną nitką. Było to niemożliwe z powodu braku nitki, toteż nie miał co liczyć na desant ratunkowy w razie zatrzymania powyżej czterdziestu ośmiu godzin. Był tam około pięciu minut; wysłuchał pogadanki pochwalnej i ewakuował się najprędzej, jak się dało.

Z pozostałymi spotkał się na dużej przerwie.

- Chodźcie - zaproponował.

- Gdzie?

- Jak to gdzie: na cmentarz! Myślę, że stało się coś złego.

- Żadne takie! - zaprotestował Wobbler. - Jeszcze nie jadłem śniadania, a posiłki muszę spożywać regularnie, bo mam problemy żołądkowe.

Johnny nawet się nie odezwał, ale jego wzrok był wystarczająco wymowny, aby Wobbler zrezygnował z jedzenia.

* * *

Zanim dotarli do serca Australii, stwierdzili, że do podróży nie potrzebują fal radiowych.

Nad Pacyfikiem powoli wstawał świt, ale daleko w tyle. Wciąż byli wolni.

- Czy my w ogóle musimy się gdziekolwiek zatrzymywać?

- Nie!
- Zawsze chciałem objechać świat.
- Cóż, jak to mówią, to tylko kwestia czasu.
- A właśnie: czasu. Która godzina?
- Północ!

* * *

Cmentarz był nieprzyzwoicie wręcz zaludniony. Kręcili się po nim fotoreporterzy, nawet z niedzielного dodatku. Była też ekipa Mid-Midlands Television. Oprócz normalnych właścicieli psów (z psami) było też kilku jegomościów myszkujących po zaroślach i zakamarkach z wprawą i zapałem przewyższającym możliwości zwykłego psa.

W zarośniętym kącie pani Tachyon pucowała nagrobek, używając końcówek Vimu, Domestosa, Cifu i lekko zużytego papieru ściernego.

- Nigdy tu tylu ludzi nie widziałem - oznajmił lekko oszołomiony Johnny. - Żywych, naturalnie.

Yo-less przyglądał się dwom mężczyznom, z zainteresowaniem penetrującym kępę zielska za grobem pani Liberty.

- Twierdzą, że tu jest ekologia, nie tylko środowisko - poinformował pozostałych, gdy wrócił. - Oni są przekonani, że widzieli skandynawskiego drozda. Podobno rzadki.

- No, tyle tu życia, że ludzkie pojęcie przechodzi - mruknął Bigmac.

Ciężarówka Zieleni Miejskiej stała na brzegu kanału, a dwóch pracowników kończyło żniwa - plonem były stare materace. Telewizor- zombi już zniknął. Pan Grimm zaś był niewidoczny, nawet dla Johnny'ego.

Przed bramą parkował samochód policyjny. Na razie nic się co prawda nie stało, ale sierżant Comely działał podług starej strażackiej zasady: lepiej zapobiegać, niż gasić. Przekładając na język policyjny - gdzie było większe zgromadzenie, prędzej czy później musiało się wydarzyć coś nielegalnego.

Cmentarz zaś był pełen ludzi.

I życia.

- Nie ma ich - stwierdził Johnny. - Nie czuję ich tutaj.

Pozostała trójka, jakby przypadkiem, zajęła mniejszą niż normalnie powierzchnię.

Coś zaczęło hałasować w pobliskim więzie. Mógł to być skandynawski drozd, o ile to nie był kruk.

- To gdzie są? - spytał z lekką ulgą Wobbler.

- Nie wiem!

- Wiedziałem! - jęknął Wobbler. - Wypuścieś ich! Teraz będą się snuli po mieście i straszili wszystkich jak tylko się ściemni! Zobaczycie!

- Pan Grimm twierdzi, że jeśli za długo będą poza cmentarzem, to zapomną, kim są...

- A widzisz? - ucieszył się Wobbler. - Mówiłem! Może dopóki pamiętali, kim są, byli w porządku, ale jak zapomną...

- "Noc żywych trupów"? - upewnił się Bigmac. - Czy "Powrót zombi"?

- Przecież już uzgodniliśmy, że nie są zombi! - w głosie Johnny'ego słychać było rezygnację.

- My to wiemy, tylko czy oni to wiedzą? - spytał poważnie Bigmac.

- Ich tu po prostu nie ma! Przestańcie demonizować!

- No to gdzie są?

- Nie wiem!

- A ja wiem, że dziś jest Halloween! - uciął dyskusję Wobbler.

Johnny podszedł do ogrodzenia wychodzącego na demontowaną fabrykę butów. Oprócz sprzętu budowlanego za siatką parkowało także kilka samochodów osobowych. Kręciło się tam sporo mężczyzn w służbowych garniturach. Z jednym z nich rozmawiał właśnie pan Atterbury.

- Chciałem im tylko powiedzieć, że możemy wygrać - szepnął Johnny. - Teraz są zainteresowani ludziami, jest telewizja i wszystko... W zeszłym tygodniu wyglądało to beznadziejnie, a teraz jest szansa... a oni zniknęli... Przecież to ich dom!

- Dzień żywego życia - dodał Bigmac.

- Koniec żartów: burczy mi w brzuchu - oznajmił Wobbler. - Najwyższy czas coś

zjeść!

- Ja bym się tam nie spieszył - stwierdził Bigmac. - Mogą siedzieć pod łóżkiem.

- A ja się spieszę, bo jestem głodny! Nie dorobię się przez was wrzodów, niedoczekanie!

- Powinniśmy wracać - poparł go niespodziewanie Yo-less. - Muszę w końcu zrobić ten projekt o projektach.

- Co? - zdumiał się Johnny.

- Z matematyki - wyjaśnił Yo-less. - Ilu w szkole robi projekty. To się nazywa statystyka.

- Zamierzam ich poszukać - oświadczył Johnny. - Jak zabiorą się za rejestrowanie projektów, będziesz miał kłopoty.

- To powiem, że robię coś socjalnego. Idzie ktoś ze mną?

Wobbler spojrzał na swoje stopy, a raczej tam, gdzie powinny być, gdyż spojrzenie utknęło na przeszkodzie, którą stanowił jego własny brzuch.

- A ty, Bigmac? Masz swoją Odwieczną Podkładkę, nie?

- Mam, chociaż się trochę zużyła...

Nikt nie wiedział, kiedy owo usprawiedliwienie powstało: wieść gminna niosła, że przekazywano je z pokolenia na pokolenie w rodzinie Bigmaca. W każdym razie zawsze skutkowało. Problem polegał na tym, że choć Bigmac hodował ryby tropikalne i starał się unikać kłopotów, było w jego wyglądzie coś, co automatycznie powodowało podejrzenia wszystkich dorosłych mających z nim kontakt. To, że mieszkał w osławionym bloku N'Clementa, nie ułatwiało sytuacji.

- Oni mogą być wszędzie - stwierdził Bigmac. - A najprawdopodobniej tylko w twojej głowie...

- Słyszałeś ich w radio!

- Słyszałem głosy w radio, a radio od tego jest, nie?

Johnny utwierdził się w przekonaniu, że ludzki umysł, którego każdy z pozostałej trójki miał prawie standardowy egzemplarz, działał jak kompas: jakkolwiek by nim wstrząsnąć i cokolwiek by z nim zrobić, prędzej czy później i tak wróci do normy. Gdyby na

rynku wylądował w latającym talerzu trzymetrowy zielony ludzik i kupiłby pocztówki i słodycze, to ledwie by wystartował z powrotem, ludzie doszliby do wniosku, że im się wydawało. A po paru dniach byliby pewni, że w ogóle nic takiego nie miało miejsca.

- Nie ma nawet pana Grimma, a on zawsze tu jest - mruknął Johnny, patrząc na grupę fotografującą ozdobny grobowiec pana Vicentiego.

- Znowu go trafiło. - Wobbler się zmartwił.

- Wracajcie - powiedział cicho Johnny. - Właśnie coś mi przyszło do głowy. Spotkamy się wieczorem u Wobblera.

- Tylko pamiętaj, żebyś nikogo ze sobą nie przyprowadzał! - przypomniał Wobbler na odchodnym.

Johnny powoli ruszył przed siebie. Na dobrą sprawę poza pierwszym razem, kiedy zapukał do grobowca Aldermana, nigdy nie musiał wywoływać zmarłych. Jeśli się pojawiał, oni też się pojawiali prędzej czy później, ciekawi, co ma do powiedzenia. Może po prostu przestało ich to interesować...

- Popatrzcie na to!

Jeden z oglądających grób podniósł ukryte za tylną ścianą radio.

- Ludzie naprawdę nie mają wstydu!

- Działa?

Nie działało. Kilka dni w wilgotnej trawie załatwiło baterie.

- Nie.

- To daj je tym nad kanałem. Śmieci do śmieci!

- Ja im mogę zanieść - zaproponował Johnny i czym prędzej odszedł z odbiornikiem w ręku.

- Witaj, młodzieńcze!

Bez udziału świadomości znalazł się na ulicy, a głos należał do pana Atterbury'ego stojącego przy ogrodzeniu wyburzanej fabryki.

- Ciekawy dzień, prawda? Zacząłeś coś dużego...

- Nie miałem zamiaru - odpalił Johnny automatycznie. Z reguły wszystko było jego winą, toteż odruch obronny włączał się sam.

- Ludzie się ocknęli, więc teraz na dwoje babka wróżyła: stary dworzec nie jest tak dobrym miejscem, ale wszyscy się na niego zgadzają. A to ważne. - Atterbury się uśmiechnął. - Holding nie lubi szumu, a to dobrze. Teraz konferują z architektami miejskimi i prawnikami.

- To dobrze. Hmm...

- Tak?

- Widziałem pana w telewizji. Mówił pan, że Unittedcośtam są skorzy do współpracy i inne takie... pochwały.

- Mogą być skorzy, jak nie będą mieli innego wyjścia. Na razie to jeszcze nic pewnego, ale sądzę, że wygramy. Zadziwiające, co można załatwić dobrym słowem.

- Prawda? - Johnny ugryzł się w język, bo chciał dodać: I dziesięciopensówką, ale dodał: - Przepraszam, muszę kogoś znaleźć...

Po czterech godzinach poszukiwań Johnny miał dość: po panu Grimmie i pozostałych nie było nigdzie śladu. Poza tym na cmentarzu się zagęściło. I to znacznie.

Ludzie ze Stowarzyszenia Miłośników Ptactwa byli mili (mimo zamieszania, jakie wywołało odkrycie lisiej nory za mauzoleum Williama Stickersa), lecz już japońscy turyści doprowadzali go do rozstroju nerwowego. Dokładnie nie było wiadomo, skąd się tu wzięli, ale ulegli się w większej liczbie i wszędzie było słychać trzask migawek i widać błyski fleszy. Upodobali sobie, nie wiedzieć czemu, grób pani Liberty, a zapasy filmów mieli przemysłowe.

W końcu jednak i one się na szczęście wyczerpały, toteż Japończycy udali się po nowe. Słońce zaczęło zachodzić i cmentarz powoli pustoszał. Samochody z okolic rozbieranej fabryki odjechały już wcześniej i gdy oddaliła się pani Tachyon, jak zwykle pchając przed sobą sklepowy wózek z piszczącym jednym kołem, Johnny został sam.

Siadł ciężko na częściowo porośniętym mchem kamieniu i powiedział cicho:

- Wiem, że pan tu jest, bo nie może pan odejść, jak inni. Pan tu musi być, ponieważ jest pan duchem. Prawdziwym duchem, i pan tu straszy, panie Grimm. A przynajmniej nawiedza.

Odpowiedziała mu cisza.

- Co pan takiego zrobił? Zabił pan kogoś czy jak?

Wciąż cisza.

Nawet głębsza niż przedtem.

- Przykro mi z powodu telewizora - dodał Johnny i wstał.

Cisza była tak gęsta, że można nią było wypychać materace.

Johnny nieco nerwowo ruszył przed siebie, starając się zachować pozory, że jeszcze nie biegnie.

Rozdział dziewiąty

- Całe to zamieszanie związane z cmentarzem zdecydowanie tchnęło trochę życia w to miasteczko - oceniła matka. - Zanieś dziadkowi kolację i powiedz mu o tym wszystkim. Wiesz, że jest tym żywo zainteresowany.

Dziadek oglądał wiadomości na hinduskim kanale (w oryginale, ma się rozumieć). Nie sprawiało mu to przyjemności, ale ten przeklęty pilot zniknął, a nikt w okolicy nie pamiętał już, jak się przestawia kanały ręcznie.

- Przyniosłem kolację, dziadku. - Aha.

- Pamiętasz stary cmentarz? Pokazywałeś mi grób Williama Stickersa?

- Aha.

- Może go nie zlikwidują. Wczoraj wieczorem było spotkanie w tej sprawie.

- Aha?

- Zabrałem głos.

- Aha!

- I może cmentarz zostanie.

- Aha.

Johnny westchnął i wrócił do kuchni.

- Mogę dostać stare prześcieradło?

- Po co ci stare prześcieradło?!

- Na imprezę u Wobblera. Jest Halloween, a nie chce mi się przebierać za coś konkretnego.

- Leży jedno na pralce, trochę zakurzone, ale przeżyjesz. Musisz tylko wyciąć w nim dziury.

- Dzięki, mamó.

- Jest różowe.

- No nie...

- Ale prawie sprane. Jakbym ci nie powiedziała, to byś nie zauważył.

Nieco przybity udał się do łazienki.

Prześcieradło rzeczywiście było mocno sprane, za to w jednym rogu miało wyszyte kwiatki.

Johnny westchnął i złapał za nożyczki.

Obiecał, że pójdzie do Wobblera, ale postanowił iść na skróty, przez cmentarz. Spakował więc prześcieradło i wyszedł cicho, zamykając za sobą drzwi.

* * *

Kilka minut po wyjściu Johnny'ego skończył się program hinduski, a zaczęły normalne wiadomości, toteż dziadek się ożywił. Wiadomości były jakby bardziej nudne, za to w zrozumiałym języku.

- Posłuchaj no, mówią, że próbują uratować stary cmentarz!

- Tak, tato.

- O, pokazują naszego Johnny'ego.

- Tak, tato.

- Nikt mi nic nie mówi w tym domu. Co to takiego?

- Kurczak.

- Aha.

* * *

Byli gdzieś nad górami w Azji, gdzie kiedyś wędrowały karawany z jedwabiem, a teraz rozmaite bandy szaleńców wystrzeliwały się wzajemnie w imię różnych nazw tego samego boga.

- Ile do świtu?

- Niewiele...

- Co?

Zwolnili nad zasypaną śniegiem przełęczą.

- Jesteśmy coś winni temu chłopakowi. Zainteresował się, pamiętał nas.

- Radzja! Zachowanie energii. Poza tym będziecie martwi.

- Prawda, ale... jeśli wrócimy... to będziemy tacy jak poprzednio, prawda? Nie chcę wracać do grobu!

- Przecież to ty nie chciałaś opuszczać cmentarza!

- Zmieniłam zdanie, Williamie.

- Taaak... pół życia martwiłem się, że umrę, a potem martwiłem się Sądem Ostatecznym. Mam dość: jestem martwy i nie mam ochoty dłużej się martwić czymkolwiek
- stwierdził Alderman. - A poza tym zaczynam sobie przypominać różne rzeczy...

- Wszyscy sobie przypominamy - dodał Solomon Einstein. - To, co zapomnieliśmy za życia...

- To właśnie największy kłopot z życiem: zabiera człowiekowi cały czas - przytaknął Alderman. - Nie mówię, że nie było miłe, na swój sposób nawet bardzo. Ale to nie było coś, co można nazwać pełnią życia...

- W sumie to nie musimy bać się świtu - odezwał się pan Vicente. - Nie musimy bać się niczego!

* * *

Johnny zadzwonił.

Drzwi otworzył kościotrup.

- To ja, Johnny - przedstawił się na wszelki wypadek Johnny.

- To ja, Bigmac - przedstawił się kościotrup. - Co ty: jesteś duchem pedała?

- To nie jest aż tak różowe.

- Za to ma kwiatki.

- Widać taka teraz moda. Przestań się wygłupiać i wpuść mnie. Tu jest zimno.

- A co, oduczyłeś się latać?

- Bigmac!

- No już dobrze, dobrze. Włącz!

Przyznać należało, że Wobbler nie zaangażował się specjalnie w dekoracje - było trochę pajęczyn, kilka gumowych pajaków i waza wywaru, w którym pływały kawałki pomarańcz. Waza była zawsze, zawartość też, tyle że na każdej imprezie świeża. Nazywało

się to "punch" i podobno nadawało się do picia, ale Johnny nigdy nie zdobył się na tyle odwagi, by zaryzykować. Z rzeczy teoretycznie spożywczych były jeszcze przekąski przypominające zasuszone robaki i sałatka warzywna wyglądająca, jakby w drodze z kuchni do pokoju przeszła przez sieczkarnię.

- Miałem robić za Kubę Rozpruwacza, ale mi przebranie nie wyszło - poinformował go na powitanie Wobbler.

- Trzeba było wybrać Hannibala Lectera, to byś się nie musiał wysilać - doradził mu Yo-less.

Oprócz gumowych pajaków były też plastikowe nietoperze, ale staranniej zamaskowane (według Wobblera po pięćdziesiąt pensów od sztuki). Gości było sporo, choć w panującym półmroku trudno było stwierdzić, za co się poprzebierali. Jeden miał kupę szwów i śrubę w karku, ale okazało się, że to Nodj, który zawsze podobnie wyglądał. Było też paru maniaków komputerowych, którzy potrafili się niemal upić bezalkoholowym piwem, i kilka dziewczyn, które gospodarz zaledwie znał. Jak zwykle rozmowa kręciła się wokół spraw szkolnych i wiadomo było, że około jedenastej zjawi się tatuś którejś z panienek, ze stanowczym zamiarem zabrania pociechy z tej jaskini opilstwa.

Krótko mówiąc - była to zwykła impreza u Wobblera.

- Możemy w coś zagrać - zaproponował Bigmac.

- Masz jeszcze jakieś pomysły? - spytał lodowato Yo-less.

- Poddaję się - przyznał Johnny. - Możesz mnie oświecić, za kogo się przebrałeś?

Pytanie adresowane było do Yo-lesa, który miał pół twarzy pomalowane na białą, a zamiast koszuli założył kamizelkę. Do tego owinał się kawałkiem sztucznej skóry z leoparda (albo czegoś innego), a na głowę wsadził melonik.

- Baron Samedi, bóg voodoo - przedstawił się Yo-less. - "Bonda" nie oglądałeś czy co?

- To rasizm - zauważył ktoś.

- Na pewno nie, jeżeli ja to robię! - oburzył się Yo-less.

- Jestem całkiem pewien, że baron Samedi nie nosił melonika tylko cylinder - zauważył Johnny. - W meloniku wyglądasz, jakbyś się nie domył przed wyjściem do biura.

- Upiornie mi przykro, ale cylindra nigdzie nie mogłem znaleźć.

- Może to jest baron Samedi od księgowości? - wyraził przypuszczenie Bigmac.

Johnn'emu stanął przed oczyma pan Grimm - jeśli ktoś wyglądał jak zły duch księgowości, to właśnie on.

- W filmie miał karty tarota i takie różne - zauważył Bigmac.

- Tarot to europejski okultyzm, a voodoo afrykański - ocknął się Johnny. - Tym, co robili film, się pozajączkowało.

- Tobie się pozajączkowało - oburzył się Wobbler. - Nie afrykański, tylko amerykański.

- Amerykański okultyzm to Elvis Presley wiecznie żywy i tego typu bzdury - sprzeciwił się Yo-less. - Voodoo powstało w Zachodniej Afryce przy lekkich wpływach chrześcijaństwa. Sprawdziłem.

- Jak chcecie, to mam normalne karty - zaofiarował Wobbler.

- Daj spokój z kartami - zaproponował Yo-less. - Bo jak się moja mamuśka dowie, to dostanie szału.

- Znowu? - Johnny średnio się zdziwił. - A tym razem dlaczego?

- Bo karty to musowo czarna magia - mruknął ponuro "Baron" Yo-less głosem swojej mamuśki.

Ktoś włączył magnetofon i zaczął tańczyć.

Karty, gry czy heavy metal to nie czarna magia czy siły ciemności. Prawdziwe siły ciemności nie są czarne - są szare jak pan Grimm. Wysysają z życia cały kolor, zmieniają miasto, na przykład Blackbury, w atrapę pełną plastyku, nikomu niepotrzebnych wieżowców i budzących strach ulic. Zmarli są pełni życia w porównaniu z egzystującymi w takim mieście ludźmi. Wszyscy stają się szarzy i zmieniają w numerki, a potem ktoś gdzieś zabiera się do podliczania. Tak sobie rozmyślał Johnny, dopóki nie przywróciło go do rzeczywistości pytanie Wobblera:

- Może byśmy zagrali w "Rozkazy"?

- To już lepiej od razu iść po prośbie - parsknął Yo-less.

- Obok mnie znają ciekawszą odmianę - zawtórował mu Bigmac. - Nazywa się: Daj

piątaka albo pożegnaj się z kołem.

- No to pozostaje nam tylko wyjść na ulicę - ocenił trzeźwo Wobbler.
- Gdzie będzie pełno przebierańców drących się wniebogłosy.
- Kilku więcej niczego nie zmieni - zauważył zgodnie z prawdą Johnny.
- Czyli postanowione - ucieszył się Wobbler. - Słuchajcie wszyscy: robimy zjazd!

Zjeżdżamy do...

* * *

Rzeczywiście - Centrum Handlowe imienia N. Armstronga pełne było ludzi, którym skończyła się wyobraźnia na halloweenowych imprezach. Chodzili grupami, przyglądali się ubiorom innych i komentowali, czyli zachowywali się jak co dzień. Jedyną różnicę stanowiło to, że okolica wyglądała niczym jedyny nocny sklep w Transylwanii.

W neonowym blasku snuli się zombi, wiedźmy chichotały do kawalerów, mumie zjeżdżały po poręczach, a wampiry gawędziły wśród sztucznej zieleni, poprawiając sobie co chwila wypadające uzębienie. Pani Tachyon spokojnie gmerała w koszu na śmieci w poszukiwaniu nie całkiem zepsutych puszek.

Różowe wdzianko Johnny'ego wzbudziło spore zainteresowanie, na szczęście bez propozycji, jakie sugerował kolorek.

- Widziałeś ostatnio jakichś zmarłych? - spytał "Baron" Yo-less, korzystając z nieobecności Bigmaca i Wobblera, którzy poszli kupić coś do jedzenia.

- Setki - odparł szczerze Johnny.

- Nie chodzi mi o imitacje.

- "Ich" nie widziałem. Martwię się, żeby im się coś nie stało.

- Są martwi! Jeżeli istnieją, oczywiście - jęknął Yo-less. - Nic ich nie przejedzie, nikt ich nie obrabuje. Uratowałeś ich cmentarz, to o czym jeszcze mają z tobą gadać. Wiesz, między wami faktycznie istnieje różnica pokoleń...

- Chce któryś owocowego węża? - spytał Wobbler. - Marcepanowe czaszki też są niezłe...

- Wracam do domu - zdecydował Johnny. - Coś jest nie tak, tylko nie wiem co.

Obok przeleciała dziesięcioletnia narzeczona Frankensteina.

- Muszę przyznać, że nie jest tu zbyt zabawnie - ocenił Wobbler. - Leci w telewizji jakiś film o wampirach, to można go obejrzeć.

- A pozostali? - zauważył Bigmac, bo reszta imprezowiczów rozmyła się w tłumie.

- Wiedzą, gdzie mieszkam - stwierdził rzeczowo Wobbler, obserwując zakrwawionego ghoul'a zjadającego ze smakiem lody.

- A o jakich wampirach ten film? - spytał Bigmac, przyglądając się raczkującej mgle.

- Komputerowych - wyjaśnił Wobbler. - Pełno ich w okolicy.

- Spijają, co się da - dodał Yo-less. - Najchętniej sok owocowy. Z dowolnych owoców, nie, Wobbler?

- Każdy lubię - przyznał Wobbler. - Hej, dlaczego idziemy tędy?

- A tak w ogóle to gdzie jesteśmy, bo w tym tumanie trudno się zorientować? - spytał Bigmac.

- To nie tuman, tylko mgła znad kanału - wyjaśnił Johnny.

Wobbler stanął.

- Nie! - stwierdził kategorycznie.

- Tędy jest bliżej - zauważył Johnny. - Będziemy szybciej.

- To na pewno, bo będę biegł!

- Wobbler, nie wygłupiaj się.

- Jest Halloween!

- No to co? Sam się przebrałeś, to czego się boisz? Inni też mogą, nie?

- Nie idę dziś w nocy przez cmentarz! - Wobbler zignorował pytanie.

- Tak samo się idzie jak w dzień.

- Niech ci będzie. Idzie się tak samo, aleja się zmieniłem.

- Boisz się? - zainteresował się Bigmac.

- Bo co?

- Bo nic, zapytać nie można?

- Prawdę mówiąc, to trochę ryzykowne - odezwał się "Baron" Yo-less.

- Właśnie, ryzykowne - potwierdził Wobbler.

- No bo nigdy nic nie wiadomo - wyjaśnił Yo-less.

- Właśnie, nie wiadomo - powtórzył Wobbler.

- Wobbler, przestań robić za echo - zaproponował Johnny. - A wy przestańcie. To jest uliczka w naszym mieście. Ma latarnie, budkę telefoniczną... no, wszystko co trzeba. A ja po prostu muszę sprawdzić, bo mi to spokoju nie daje. W końcu jest nasz czterech, nie? To chyba coś znaczy?

- Owszem - zgodził się Wobbler. - Znaczy, że coś złego może się zdarzyć cztery razy.

Ponieważ rozmawiali, cały czas idąc, w zaścielającej ulicę mgłę mogli już dostrzec latarnię oświetlającą budkę telefoniczną niczym samotna gwiazda. Mgła także tłumiła dźwięki i było to tym bardziej słyszeć, że wszyscy zamilkli.

Johnny nasłuchiwał, ale nie było nawet tej ciszy, którą wywołują zmarli.

- Widzicie? - szepnął. - Mówiłem...

Ktoś kaszlnął.

Daleko i głośno.

Nagle wszyscy czterej spróbowali zająć ten sam kawałek przestrzeni.

- Martwi nie kaszlą! - syknął Johnny.

- W takim razie ktoś jest na cmentarzu! - wywnioskował Yo-less.

- Hieny cmentarne! - ucieszył się nie wiadomo czemu Wobbler.

- Albo złodzieje ciał - dodał wcale nie ucieszony Bigmac.

- Mogą też być sataniści - dołączył Yo-less. - Czytałem w gazecie, że do rytuałów używają ciał zmarłych.

- Zamknijcie się! - polecił Johnny.

Polecenie zostało wykonane.

- To nie było na cmentarzu, tylko gdzieś w fabryce! - wyjaśnił Johnny.

- Przecież jest środek nocy! - zauważył rozsądnie Yo-less.

Podkradli się bliżej i po drodze natknęli się na furgonetkę. Wóz stał w zupełnej ciemności.

- Jeśli dobrze pamiętam, hrabia Drakula nigdy nie zajmował się prowadzeniem furgonetki - odetchnął Johnny.

- A jeśli zachciało mu się zadebiutować... - mruknął Bigmac.

Gdzieś we mgle coś metalicznie brzęknęło.

- Wobbler? - Johnny miał nadzieję, że mówi spokojnym głosem.

- Tak?

- Powiedziałeś, że będziesz biegał. Obawiam się, że powiedziałeś to w złą godzinę: gnaj do domu pana Atterbury'ego i powiedz mu, żeby natychmiast tu przybył.

- Co? Sam?

- Sam będziesz biegł znacznie skuteczniej - zauważył Johnny.

- Prawda - przytaknął Yo-less.

Wobbler posłał mu przestraszone spojrzenie, ale nie odezwał się słowem.

- O co właściwie chodzi? - spytał Yo-less, gdy umilkł łomot butów Wobblera.

Tym razem nie sposób było nie rozpoznać hałasu - mgła go wyciszyła, ale bez dwóch zdań był to warkot zapuszczanego potężnego silnika diesla.

- Ktoś się dobrał do spychacza! - ocenił Bigmac. - Gdzie on go chce sprzedać?

- Wątpię, żeby ktoś go kradł - ostudził go Johnny. - Tu chodzi o coś gorszego, chodźcie!

- Słuchaj, jeśli ktoś we mgle jeździ spychaczem bez świateł, to coś tu jest mocno nie tak. - Do Yo-lessa dotarła powaga sytuacji. - Nie podoba mi się to wszystko!

Pięćdziesiąt metrów od nich zapłonęły reflektory, ledwo widoczne zresztą w gęstej mgle.

- Teraz lepiej? - spytał Johnny, kryjąc uśmiech.

- Nie!

Światła drgnęły - wraz z całą maszyną ruszyły w stronę ogrodzenia cmentarza. Johnny poczekał, aż szufla z brzękiem dotarła do muru, po czym podbiegł do boku spychacza i wrzasnął:

- Łaaa!

Silnik zamarł.

- Zmiataj! - polecił szeptem Yo-lessowi. - Grzej i powiedz komuś, co się dzieje!

Z kabiny wyskoczył jakiś mężczyzna, zobaczył dwie sylwetki i podszedł do nich.

- Tym razem wpadliście w poważne kłopoty, gówniarze - oznajmił chrapliwie.

Johnny odruchowo się cofnął i poczuł, że ktoś łapie go za ramiona.

- Słyszałeś? - rozległ się przy jego uchu złośliwy głos. - Lepiej byłoby, jakbyś niczego nie widział. Bo to wszystko twoja wina, a wiemy, gdzie mieszkasz... A ty gdzie?

Z niespodziewaną zręcznością złapał Yo-lessa za ramię, puszczając równocześnie jedno ramię Johnny'ego.

- Wiesz, co myślę? - zaczął filozoficznie kierowca spychacza. - Se myślę, że dobrze, żeśmy tu szli, bo żeśmy ich dupli, tylko szkoda, że najpierw pojeździli po cmentarzu, nie? Ta dzisiejsza młodzież, jak to mówią w telewizji. Dobrze se myślę?

Zanim jego kompan zdążył odpowiedzieć, obok głowy Johnny'ego przeleciała półceglówka i walnęła trzymającego go w ramię.

- Co się kur...

- Łeb ci rozwalę, zasrańcu! - zawyło. - Puść go albo ci łeb rozwalę!

Z mgły wynurzył się Bigmac.

Johnny musiał przyznać, że może nie jest to "Wejście smoka", ale robi wrażenie: Bigmac ryczał, wykrzywił się i wywijał nad głową kawałkiem rury. Rura nie była gruba, za to długa.

- Słyszysz, wypierdku? Możesz mi skoczyć: mam świra!

Gazrurka zafurczała niczym wirnik helikoptera i Bigmac z krzykiem wojennym ruszył ku nim biegiem.

- Aaaaaiiii...

I do czterech osób równocześnie dotarło, że dobrowolnie się nie zatrzyma.

Rozdział dziesiąty

Bigmac wyglądał niczym wkurzony kościotrup skina i faktycznie nie miał zamiaru się zatrzymać.

- Załatw go!

- Sam go załatw!

Gazrurka łomotnęła o spychacz i Bigmac skoczył.

Mimo podniesionego poziomu adrenaliny Bigmac jednak pozostał Bigmakiem, kierowca zaś był masywnym mężczyzną i, sądząc po stanie nosa i reszty, zaprawionym w barowych argumentach. Tyle że przez kilka sekund miał przed sobą chłopaka wywijającego młynki gazrurką tak, że nie dało się go powstrzymać. Jeden silny cios załatwiłby sprawę, lecz Bigmac poszedł na zwarcie i siadł tamtemu na plecach, próbując przy okazji odgryźć mu ucho. Mimo to nie wiadomo, jak długo by się utrzymał wierzchem na przeciwniku.

W pobliżu rozbłysły reflektory wozu jadącego po wybojach i na oślep, ale ku nim. Trzymający Johnny'ego i Yo-lessa zaklął półgłosem i pognął w mgłę, zaś ten, który zmagał się z Bigmakiem, w przypływie energii zwałił go z siebie silnym szarpnięciem. Na pożegnanie trzasnął go w brzuch i pobiegł w ślad za towarzyszem. Samochód zatrzymał się z piskiem opon w pobliżu spychacza i wypadł z niego Wobbler, wyjąc potępieńczo.

Zza kierownicy znacznie stateczniej wygramolił się pan Atterbury, po czym wyprostował się i rozejrzał wokół.

- Zdążyli uciec - poinformował go Johnny. - W tej mgle nigdy ich nie znajdziemy.

W oddali rozległ się warkot zapuszczanego silnika, którego wycie oraz przekleństwa usiłującego wprowadzić go w ruch mężczyzny dobitnie świadczyły, że kierowcy bardziej niż się spieszy.

- Aleja zapisałem numer! - wrzasnął tryumfalnie Wobbler. - Nachuchałem na szybę i zapisałem numer! Czego się na mnie tak gapisz, Yo-less: to ty zawsze nosisz ze sobą długopis, nie ja!

- Chcieli wjechać na cmentarz i zniszczyć, co się da - wyjaśnił Yo-less.

- Doprawdy, spodziewałem się więcej wyobraźni po United Consolidated - parsknął pogardliwie pan Atterbury. - Może najpierw zajmijmy się waszym przyjacielem?

Bigmac klęczał, próbując wydobyć z siebie głos, ale nie bardzo mu to wychodziło.

- Muszę chuchać, bo numer zniknie. Może któryś dałby mi ołówek?

- Żyjesz, Bigmac?

- Naprawdę... naprawdę ich przestraszyłem... - wychrypiał w końcu Bigmac.

- Naprawdę - zapewnił go Johnny. - Daj rękę, pomożemy ci wstać... Jak się czujesz?

- Pobity.

- Poczekaj, zaraz ci pomogę, jak przestanę chuchać...

- Wsadzimy cię do samochodu.

- Nic mi nie będzie...

- Zawiozę go do szpitala, nigdy nic nie wiadomo!

- Nie! - Propozycja szpitala może nie dodała Bigmacowi skrzydeł, ale postawiła go na równe nogi. - Przeżyję - wykrztusił. - Nie takie lanie przeżyłem.

We mgle coś zawyło i zaczęło się zbliżać z towarzyszeniem czerwono- błękitnych błysków. Wycie policyjnej syreny umilkło w pół tonu, gdy reflektory oświetliły scenę przy spychaczu.

- Wydaje mi się, że moja żona nieco przesadziła - przyznał pan Atterbury. - Bigmac, tak... rozpoznałbyś tych mężczyzn, gdybyś ich zobaczył?

- Pewnie. Zwłaszcza że jeden ma ślady moich zębów na uchu. - Do Bigmaca nagle dotarło, że stoi twarzą w twarz z władzą. - Ale na posterunek nie pójdę... nie ma siły.

Pan Atterbury wyprostował się, gdy wóz policyjny zatrzymał się metr od niego.

- Sądzę, że najlepiej będzie, jeżeli ja zajmę się wyjaśnieniami - zaproponował.

Z wozu wysiadł sierżant Comely i rozejrzał się podejrzliwie.

- Ach, Ray - zaczął Atterbury, zanim policjant zdążył się odezwać. - Cieszę się, że wpadłeś. Możemy porozmawiać?

Obaj podeszli do spychacza, a potem do ogrodzenia. Pan Atterbury mówił, sierżant słuchał, a bohaterowie wydarzeń ostatniej półgodziny obserwowali (podśłuchiwać nie mogli, bo pan Atterbury mówił zbyt cicho).

- Zamkną mnie za pogryzienie!... - Bigmac zaczął desperować. - Zobaczcie!

- Wiedziałeś, że coś się wydarzy. - Wobbler spojrzał oskarżycielsko na Johnny'ego.

- Wiedziałem. Tylko nie pytaj, jak i skąd. Sierżant spojrzał na zaparowaną szybę samochodu pana Atterbury'ego i spisał wychuchany przez Wobblera numer, po czym wrócił do wozu i wziął mikrofon. Tym razem słyhać go było dokładnie:

- ...nie, do wszystkich diabłów! Powtarzam: H jak Hirek, W jak Wagner... co?

Przecież mówię: W jak Westfalia, A jak Aardvark...

Zza spychacza wyłonił się pan Atterbury z obcęgami w garści.

- Jak on się dziś w nocy ruszy, to uwierzę w duchy - oznajmił. - Albo w cuda.

- I co teraz będzie? - spytał Johnny.

- Nie jestem pewien... Furgonetkę powinno się znaleźć. Sądzę, że udało mi się przekonać sierżanta, aby załatwił sprawę po cichu. Przynajmniej na razie. Złóżcie zeznania i to powinno wystarczyć.

- Oni byli z United Consolidated?

- Ktoś tam musiał sobie pomyśleć, że wszystko stałoby się prostsze, gdyby nie było czego ratować... Myślę, że odpowiednim ludziom dano odpowiednią kwotę i zaproponowano... hmm... głupi dowcip w Halloween.

W policyjnym radiu coś zatrzeszczało i zagadało.

- Zatrzymaliśmy furgonetkę na East Siatę Road! - zawołał sierżant. - Wygląda, że to oni.

- Doskonała robota - mruknął pod nosem Yo-less. - Teraz w nagrodę do domu na herbatę i ciastka!

- Myślę, że pomogłoby, gdybyś też pojechał na posterunek, Bigmac - zauważył Atterbury.

- Mowy nie ma!

- Zawiozę cię. Jeden z twoich przyjaciół też może z nami jechać.

- Faktycznie by pomogło - odezwał się Johnny. - Mogę być ja - zgłosił się równocześnie Yo-less.

- A potem - pan Atterbury uśmiechnął się - mam zamiar zadzwonić do prezesa

United Consolidated. I sędzę, że sprawi mi to sporą przyjemność. Sporą, tak, to chyba najwłaściwsze określenie.

* * *

Dziesięć minut później Bigmac udał się na posterunek w towarzystwie Yo-lessa, pana Atterbury'ego i z zapewnieniem, że nie będzie wypytywany o pewne nie związane ze sprawą szczegóły, jak na przykład brak samochodów w miejscach, w których spodziewali się znaleźć je właściciele.

Mgła zaczęła rzednąć, przez co lampy stały się wyraźniejsze, a mrok za magazynem dywanów znacznie głębszy.

- Zabawa się skończyła - podsumował Wobbler. - Czas wracać do domu.

Przez strzępy mgły dało się nawet zauważyć księżyc.

- To nie w porządku - uparł się Johnny. - Nie tak powinno się to skończyć.

- Jest happy end? Jest! To o co ci chodzi? Przestępcy w pudle, dzieciaki bohaterami wieczoru, no to każdemu po lizaku i lulu.

Spychacz bez mgły wyglądał znacznie okazalej.

Powietrze zaś stało się jakby bardziej naładowane.

- Coś jeszcze się wydarzy - stwierdził Johnny, kierując się w stronę cmentarza.

- Johnny...

- Chodź!

- Nie! Tam nie pójdę!

- I ty twierdzisz, że lubisz horrory?

- Oglądać, nie przeżywać!

- Też mi różnica!

- Przecież jest prawie północ! - jęknął Wobbler. - A tam jest masa nieboszczyków!

- I co z tego? Prędzej czy później wszyscy tak skończymy.

- Może i tak, ale osobiście wolę później.

Johnny czuł w powietrzu napięcie jak przed burzą. Aż dziwne, że między nagrobkami nie przeskakiwały wyładowania elektryczne. Mgła znikła, jakby próbując przed czymś

uciec, toteż na błękitnogrnatowym niebie jaśniał księżyc, rzucając ostre cienie na załamania terenu. Cmentarne alejki rzeczywiście wyglądały w tym blasku niesamowicie i jakby nie na miejscu.

- Wobbler? - spytał Johnny, nie odwracając się.

- No?

- Jesteś tu?

- A niby gdzie mam być? Sam mnie tu zaciągnąłeś!

- Dzięki.

Nagle poczuł się lekko, jakby zdjęto zeń spory ciężar. Aż dziwne, że jeszcze nie zaczął latać. Pobiegł ku placykowi, gdzie stały kamienne ławki i gdzie z zasady spotykali się zmarli.

Nie był tam pierwszy.

Samotna, z zamkniętymi oczyma, pani Tachyon tańczyła, wirując z wdziękiem, o który nikt by jej nie posądzał.

Samotna? Może jeszcze przed chwilą...

Powietrze zatrzeszczało i cienkie błękitne linie opadły z nieba, świecąc niczym neony. Gdy dotknęły palców tańczącej, eksplodowały w niewielkim rozbłysku i przekształcały się. Cmentarz błyskawicznie wypełnił się niewielkimi, błękitnymi kometami.

Stopy pani Tachyon przestały dotykać ziemi.

Johnny spojrzał na swoje dłonie - po prawej tańczyły błękitne ogniki, chwilę później po lewej także. Poczuł, jak odrywa się od ziemi...

Światła okręciły go i łagodnie opuściły na żwir alejki.

- Kim jesteście?

Najbliższa minikometa eksplodowała, znacząc w powietrzu znajomy kształt.

- Do dzisiejszej nocy byłem przekonany, że jestem Williamem Stickersem - powiedziało coś przez pokrytą wyładowaniami brodę. - Popatrz na to!

Minikometry przeleciały nad grobowcami i zebrały się wokół spychacza. Wkrótce było ich tam tyle, że maszyna zaczęła świecić jakby własnym blaskiem. Coś parsknęło, kichnęło.

I silnik zaskoczył.

Spychacz ruszył, rozwalając ogrodzenie.

Wokół niego tańczyły błękitne światła.

- Stójcie! - krzyknął Johnny. - Zgłupieliście?!

Maszyna stanęła, silnik przeszedł na jałowe obroty, a światła obróciły się w stronę Johnny'ego. Mógłby przysiąc, że obserwowały go z uwagą.

- Co wy wyprawiacie?

W rozbłysku błękitnej poświaty pojawił się fantom Aldermana.

- Przecież wszyscy tego chcą, prawda? - spytał. - My go już nie potrzebujemy, a jeśli ktokolwiek ma zniszczyć cmentarz, to powinniśmy to być my. Tylko my mamy do tego prawo.

- Mówiliście, że to wasze miejsce!

W powietrzu zarysowała się pani Liberty.

- Nic tam nie zostawiliśmy - powiedziała - to już nie jest nasze miejsce.

- Siła przyzwyczajenia - dodał Stickers. - Zbyt długo wiązała człowieka pracującego. Co do tego od początku miałem rację.

- Ten zakamieniały bolszewik poza tym, że potrzebuje golenia, ma rację - przyznała pani Liberty i niespodziewanie roześmiała się. - Wydaje mi się, że zbyt wiele czasu straciliśmy, kręcąc się po cmentarzu i nie zastanawiając się, czym moglibyśmy się stać.

- A możliwości izdnije wiele - dodał pan Einstein, eksplodując w istnienie. - Czas nie jest ograniczeniem.

- Wymiary to błahostka - dołączył pan Fletcher, rozbłyskując niczym neonówka. - A jest ich, nie powiem, sporo.

- Ciało przestało zawadzać - dorzucił Alderman.

- Kierunki też - dodał radośnie Stanley Roundway.

- Krótko mówiąc: jesteśmy zaczarowani - podsumował pan Vicenti.

- Musieliśmy do tego dojrzeć i to odkryć - wyjaśnił pan Fletcher. - Ty też musisz. Pierwszym krokiem jest zapomnieć, kim się było. I przestać się bać starych, od początku wpojonych przesądów. Potem możesz odkryć, kim jesteś, a jeszcze później, kim możesz być.

- To ostatnie właśnie mamy zamiar zrobić - oznajmił Alderman. - Wyruszamy więc!

- Dokąd?

- Nie wiemy. Ale dziekawie będzie sprawdzić - stwierdził Solomon Einstein.

- Ale... ale myśmy uratowali cmentarz! - wybuchnął Johnny. - Było spotkanie i potem było w telewizji i teraz ludzie naprawdę zaczęli o tym mówić! Nikt tu niczego nie zbuduje. Byli tu ludzie z ochrony przyrody i reszta... Nie możecie tego zniszczyć!

- Nie potrzebujemy już tego miejsca - powtórzył Alderman.

- Ale my potrzebujemy!

Zmarli popatrzyli na niego zdziwieni.

- No... potrzebujemy, żeby tu pozostało i było. - Johnny wyjaśnił bliżej.

Silnik spychacza chodził na jałowym biegu i był to jedyny dźwięk, jaki przez dłuższą chwilę zakłócał grobową ciszę.

Zmarli namyślali się.

W końcu Solomon Einstein skinął głową.

- To jest naturalnie prawda. Równowaga, rozumiecie? Żywi muszą pamiętać, a martwi zapomnieć. Zachowanie energii.

Silnik spychacza umilkł.

- Przybyliśmy się pożegnać. - Pan Vicente uniósł dłoń wyglądającą jak sztuczny ogień.

- I podziękować ci.

- Przecież ja nic takiego nie zrobiłam. - Słuchałeś, próbowałeś i byłeś. Za to dostaje się czasami medale. Ludzie rzadko się tak zachowują, za to często zapominają o innych, którzy po prostu byli.

- Wiem...

- A teraz na nas już czas.

- Jeszcze nie! Muszę o coś zapytać...

- Tak?

- No...

- Wykrztuś wreszcie. - Pan Vicente uśmiechnął się lekko.

- Czy... miały z tym coś wspólnego anioły... albo diabły? Sporo ludzi chciałoby to

wiedzieć - wyrzucił z siebie Johnny.

- Nie sędzę. Jakoś żadnego nie zauważyłem... nie zauważyłem zresztą nic z tych rzeczy. W to wierzą jedynie żywi.

- I tak sędzę, że będzie znacznie ciekawiej, niż zapowiadali z ambony - dodał Alderman, zacierając dłonie.

Zmarli zaczęli się rozchodzić, w większości zmieniając się po paru krokach w dym, rozwiewający się w podmuchach nie istniejącego wiatru. Część skierowała się w stronę kanału, na którym unosiła się łódź przypominająca gondolę. Na rufie stała ciemna postać, opierając się o wiosło zanurzone do połowy w wodzie.

- Mój transport - odezwał się William Stickers.

- Wygląda trochę... niesamowicie - przyznał Johnny.

- Cóż, postanowiłem, że spróbuję. Jak mi się nie spodoba, przesiadę się na coś innego. - Stickers wskoczył na pokład. - Ruszamy, towarzyszu.

DOBRE - odparł przewoźnik.

Łódź odbiła od brzegu. Kanał miał zaledwie parę metrów szerokości, ale łódź zdawała się płynąć i płynąć...

Głos po wodzie niesie się całkiem wyraźnie toteż Johnny bez trudu usłyszał następującą wymianę poglądów:

- Jakby tak zamontować silnik, to by się płynęło szybciej...

LUBIĘ W TEN SPOSÓB, PANIE STICKERS.

- A jaką masz płacę?

SZOKUJĄCĄ.

- Ja tam bym się na twoim miejscu zastanowił...

- Nie jestem pewien, dokąd on się właściwie udaje - odezwał się Alderman. - Ale na pewno zreorganizuje to, co tam zastanie. Tradycjonalistą był i pozostał.

Dalej, na brzegu coś pstryknęło i zaszumiało: Einstein i Fletcher siedzieli dumnie w czymś, co wyglądało trochę jak elektroniczny układ, a raczej jego schemat, trochę jak maszyna, a trochę jak matematyka, a przynajmniej jak wyglądałaby matematyka, gdyby była czymś konkretnym. Całość słabo świeciła, szumiała i potrzaskiwała.

- Wspaniałe, prawda? - spytał z dumą pan Fletcher. - To ciąg myślowy.

- Albo polot wyobraźni - dodał Solomon Einstein.

- Musimy sprawdzić pewne rzeczy. - Pan Fletcher wyraźnie był uszczęśliwiony. - To co? Do gwiazd, panie Einstein?

- Albo i dalej, panie Fletcher!

Kontury owego czegoś rozbłysły, zbiegły się i zniknęły. Tuż przed zniknięciem jednak zdawały się przyspieszać.

- Zdaje się, że machali - zauważyła pani Liberty.

- I nie tylko. - Alderman się wyprostował. - Chodź, Sylvio. Sądzę, że dla nas stosowniejszy będzie nieco bardziej konwencjonalny środek transportu.

Wzięli się za ręce i nie bacząc na Johnny'ego, wstąpili w czarne wody kanału. Zrobili to tak dostojnie, że żadne inne określenie nie wydawało się właściwe.

Powoli zanurzyli się, pozostawiając wolno znikającą perłową poświatę.

Po sekundzie rozległ się odgłos zapuszczanego silnika, po czym z wody wynurzył się duch forda capri, przezroczysty niby bańka mydlana. Alderman powstrzymał wznoszenie, puścił niewidzialną szybę i powiedział:

- Pani Liberty uważa, że powinniśmy ci coś powiedzieć, ale wiesz... to dość trudno wyjaśnić... a właściwie dlaczego jesteś w różowym prześcieradle?

- Hmm... no...

- To chyba niezbyt ważne.

- Niezbyt.

- No cóż... - Duch samochodu powoli obrócił się, prześwitywały przezeń gwiazdy. - Znasz taką grę, w której piłeczka odbija się od różnych przeszkód, aż w końcu wpada w dziurę na dole planszy?

- "Flipper"?

- Tak to teraz nazywają?!

- Tak mi się wydaje.

- Niech będzie, to akurat jest mało ważne. W każdym razie tej odbijającej się piłeczce trudno wyobrazić sobie, że poza planszą jest jeszcze pokój. A to, że poza pokojem

jest miasto, a dalej kraj, świat i tryliony gwiazd, to już zupełna abstrakcja. Rozumiesz, o co mi chodzi? Gdyby sobie to uświadomiła, to dziura na końcu planszy przestałaby być zmartwieniem. A wtedy mogłaby się odbijać znacznie dłużej.

- Spróbuję... spróbuję to zapamiętać.

- Przydałoby ci się i w życiu, i potem. No, na nas już czas...

Duch silnika zagrał szybciej.

- Do zobaczenia... - powiedział głośniej Alderman.

Wóz powoli uniósł się i pomknął do przodu i w górę.

- No, to ja także będę się zbierał. - Pan Vicenti wyjął z powietrza cylinder i laseczkę.

- Dlaczego wszyscy odchodzicie? - spytał Johnny.

- Bo zdecydowaliśmy, że dziś jest Dzień Sądu podobno Ostatecznego.

- Zawsze mi się wydawało, że do tego niezbędne są trąby, chóry i cała reszta...

- To zależy wyłącznie od punktu widzenia. W każdym wypadku wygląda to inaczej.

Cóż, miłej opieki nad cmentarzem. Wyszło na to, że to jednak miejsce dla żywych, nie dla zmarłych. - Pan Vicenti naciągnął białe rękawiczki i nacisnął niewidoczny guzik niewidzialnej windy. Gdy zaczął się unosić, z rękawów posypało się pierze. - Coś podobnego! - zdumiał się i rozpiął frak. - No, dosyć tego dobrego... sio!... A kysz!... Psik!... czy jak tam się na was mówi... Wszyscy won! - Ponad pół tuzina gołębih duchów z furkotem wypadło z różnych zakamarków odzieży. - No! To by dowodziło, że można uciec praktycznie od wszystkiego - odsapnął pan Vicenti i spojrzał w dół na Johnny'ego. - Choć muszę przyznać, że trzy pary kajdanek, dwadzieścia metrów krowiego łańcucha i brezentowy worek mogą stworzyć spore trudności w określonych warunkach.

W rondzie cylindra odbiło się światło.

W końcu pozostał tylko... jeden.

Johnny odwrócił się.

Na środku alejki stał pan Grimm, ze starannie złożonymi rękoma i obserwował niebo z miną tak ekspresywną, jakiej Johnny w życiu nie widział. Otaczała go ciemność na podobieństwo mgły, ale znacznie, znacznie gęstsza.

Johnny przypomniał sobie, jak to wiele lat temu Bigmac zrobił imprezę i go nie

zaprosił. Potem jeszcze objechał za głupotę, motywując to nawet logicznie: "Pewnie, że cię nie zapraszałem bo wiedziałem, że przyjdiesz. Powinieneś mieć dość zdrowego rozsądku, by przyjść bez zaproszenia na wyczerpanym papierze. Od kiedy trzeba na coś zapraszać przyjaciela?"

Jak na Bigmaca była to niezwykle długa przemowa, dobitnie wskazująca, że się zdenerwował głupotą Johnny'ego. Johnny na ten tok logiczny nie wpadł, więc nie poszedł. Wszyscy inni natomiast poszli. A przedtem tyle o tym gadali, że czuł się, jakby stanął nad bezdenną przepaścią, której w żaden sposób nie da się ani przeskoczyć, ani obejść. Kiedy ma się siedem lat, takie doświadczenie bywa straszne.

Kiedy się jest martwym, bywa znacznie, ale to znacznie gorsze.

Pan Grimm w końcu zauważył, że Johnny mu się przygląda.

- Hmmm... - warknął, zbierając się w sobie.- Jeszcze pożałują.

- Zamierzam dowiedzieć się prawdy o panu, panie Grimm.

- Nie ma się czego dowiadywać.

Johnny wrzucił ramionami i przeszedł przez niego.

Na chwilę zrobiło mu się lodowato, a potem pan Grimm zniknął.

I nie było już nikogo.

Było to nieco dziwne, bo powinien być Wobbler.

Nad cmentarz napływała normalna, powszednia noc.

Odległe dźwięki nocnego miasta zajmowały miejsce panującej dotąd wszechobecnej ciszy. Johnny ruszył alejką po własnych śladach.

- Wobbler?... Wobbler?!

Znalazł go trzy groby dalej, wciśniętego za nagrobek i kurczowo zaciskającego powieki.

- Możesz wyjść, już po wszystkim!

- Posłuchaj...

- W porządku.

- To były sztuczne ognie? - spytał Wobbler, gramoląc się na ścieżkę. - Ktoś wystrzelił masę fajerwerków, tak?

- Można to i tak nazwać.
- Takie rzeczy bywają niebezpieczne, jak za nisko lecą...
- Bywają, więc dobrze, że się schowałeś.
- Wiesz, bo ja czasami się boję...
- Wiem.

Odwrócili się, słysząc metaliczne pobrzękiwanie i miarowe popiskiwanie.

Pani Tachyon maszerowała alejką, pchając nieodłączny wózek z piszczącym kółkiem. Czym prędzej odskoczyli, żeby nie oberwać po plecach lub nogach konstrukcją sklepowego wózka (bowiem pani Tachyon jechała przeważnie po linii prostej, nie zwracając uwagi na ruchome przeszkody), nie zostali jednak zauważeni. Pani Tachyon wraz z popiskującym upiornie wózkiem zniknęła powoli w mroku.

Obaj, nie spiesząc się, ruszyli do domu.

Rozdział jedenasty

Jak to kiedyś zgrabnie ujął Thomas Atkins, sprawy niekoniecznie zostają zakończone tylko dlatego, że się skończyły.

Najlepszym tego przykładem jest Bigmac. Yo-less wrócił z nim do domu po wizycie na posterunku. Brat Bigmaca czekał na nich z zamiarem natychmiastowego zabrania się do wychowania rodzeństwa. Bigmac wysłuchał trzech pierwszych zdań, uchylił się przed czterema ciosami i rąbnął brata w szczękę z taką siłą, że tamtemu odbiło się na podbródku "TAH". Potem zignorował nieprzytomnego, za to tak warknął na Clintę, że pies schował się pod sofą i siedział tam cichutko.

Yo-less obudził w związku z tym matkę i przy jej (oraz samochodu) pomocy przeprowadził Bigmaca, walizkę, trzy akwaria (pełne tropikalnych rybek) i ponad dwieście numerów "Guns and Ammo" do pokoju gościnnego w ich domu.

Blackbury Volunteers otrzymali poważną dotację od United Amalgamated Consolidated Holdings, co - jak wyjaśnił pan Atterbury - było idealnym przykładem zadziwiających sukcesów, jakie można odnieść, posługując się dużą marchewką, jeśli ma się jeszcze większy kij.

Cmentarz dalej znajdował się w głównym kręgu zainteresowania mieszkańców. Teraz głównie ze względu na spór dwóch frakcji wewnątrz towarzystwa: jedni chcieli, żeby był habitatem, drudzy - ekologią. Chwilowo stanęło na tym, że ma być czysty i zadbany, jak chciała większość. Najważniejsze z tego wszystkiego, że był chciany.

Johnny'emu tydzień zajęło znalezienie tego, czego szukał, a gdy w końcu miał wszystko, spakował to i zaniósł na cmentarz, wybierając raczej późniejszą porę, kiedy innych już tam nie było.

Pana Grimma znalazł nad kanałem. Wpatrywał się w wodę.

- Panie Grimm...

- Odejdź! Jesteś niebezpieczny.

- Wydawało mi się, że czuje się pan samotny. Więc przyniosłem to... - Wyjął z torby

owo "to". - Pomógł panu Atterbury, choć nie do końca wiedział dlaczego. Jego znajomy ma warsztat i naprawił, co trzeba. Baterie ma nowe, to trochę pochodzi, a potem pewnie będzie działał na duchach baterii...

- Co to jest?!

- Telewizorek. Można go ukryć w krzakach, które już przetrząsnęli miłośnicy przyrody i nikt poza panem nie będzie o nim wiedział.

- Dlaczego to robisz? - spytał pan Grimm podejrzliwie.

- Bo odszukałem pana w końcu w gazecie z 29 maja 1927 roku. Niewiele tego było poza informacją o znalezieniu pańskiego ciała w kanale.

- Wścibstwo jest wadą, nie zaletą. I co, wydaje ci się, że coś wiesz?

- Nie.

- Nie muszę niczego wyjaśniać! Ani nikomu się tłumaczyć!

- Dlatego nie mógł pan odejść z innymi?

- Co?! Mogę odejść, kiedy będę chciał - nastroszył się duch pana Grimma. - Jestem tu, bo chcę. Znam swoje miejsce. Wiem, jak należy właściwie postępować. Mogę odejść, kiedy zechcę, ale mam więcej dumy. Tacy jak ty tego nie rozumieją. Ty nie bierzesz życia poważnie.

W gazecie rzeczywiście niewiele napisano. Jak mawiał pan Vicenti, w tamtych czasach nie o wszystkim pisano. Pan Grimm był szanowanym obywatelem, nie wychylającym się, za to idealnie wypełniającym miejsce w tle. Tacy jak on tworzą tłum i stanowią zawsze większość. Z nieprecyzyjnie wyjaśnionych powodów jego firma padła. Były też inne kłopoty finansowe, a potem był kanał (dosłownie). Pan Grimm faktycznie brał życie poważnie.

Poczynając od swojego.

Wtedy o samobójcach nie mówiono wcale albo niewiele. Samobójstwo było sprzeczne z prawem, co zresztą nieodmiennie zdumiewało Johnn'ego. Wychodziło na to, że jak się komuś nie udało (na przykład lina się urwała albo gaz wyłączyli), to się trafiało do więzienia, gdzie można się było przekonać, że życie naprawdę jest radosne i warte, by je zakończyć w sposób naturalny, bez samopomocy.

Pan Grimm siedział i patrzył na niego.

Johnny stwierdził, że nic mądrego nie wymyśli, więc nic nie mówił. Wsunął za to przenośny telewizorek głęboko w krzaki, mając nadzieję, że żywa dusza go tam nie znajdzie.

- Potrafi pan go włączyć? - upewnił się Johnny.

- A kto mówi, że mam zamiar?

Obraz pojawił się jak na zawołanie, a towarzyszył mu znany sygnał.

- Wczoraj się zaczął nowy serial, więc nie będę streszczał: sami to robią na początku

- wyjaśnił Johnny.

- Widzę.

- W takim razie ja już sobie pójdę.

- Właśnie.

- Mam nadzieję, że czas szybko będzie mijał - dodał niepewnie Johnny, odchodząc.

- No to... tymczasem.

- Właśnie.

- Panie Grimm... - Johnny chciał mu powiedzieć, że właściwie to może odejść, kiedy tylko będzie miał ochotę, ale doszedł do wniosku, że to bezcelowe.

- Właśnie.

Chłopak bez słowa odwrócił się i odszedł.

* * *

Pozostała trójka czekała na niego koło budki telefonicznej.

- Był? - spytał zwięźle Yo-less.

- Był.

- Co robi?

- Ogląda telewizję.

- Jak to ostatnio duchy - dodał sentencjonalnie Wobbler.

- Pewnie tak - zgodził się Johnny.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, tylko właśnie się zastanawiam nad różnicą między niebem a piekłem.

- Coś mi się nie wydaje, żebyś czuł się dobrze.

Johnny zamrugał gwałtownie.

I rozejrzał się po świecie.

Nie był on, ściśle rzecz biorąc, cudowny. Nie był, prawdę mówiąc, nawet miły. A już zupełnie poważnie rzecz ujmując, nie był nawet dobry. Ale był ciekawy. I nigdy tak do końca nie da się go poznać - zawsze zaskoczy czymś nowym i niespodziewanym...

- No dobra. - Johnny uśmiechnął się. - To co robimy z tak pięknie rozpoczętym dniem?